Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 37 (1825) • 12–18 września 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

STAR WARS

ATAK DRONÓW

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl b921f55bef

WOJNA DOMOWA

W nocy w wtorku na środę znad Białorusi nadleciały drony; część spadła, część została zestrzelona przez polskich i holenderskich junaków przestworzy. Co jest o tyle warte odnotowania, że drony, wedle opinii rozmaitych wypowiadających się w mediach ekspertów od uzbrojenia, były to tzw. wabiki – czyli nieuzbrojone jednostki, służące do robienia zamieszania na niebie – a jedna rakieta przechwytująca kosztuje od pół miliona do miliona dolarów. Jakby tego było mało, gen. Różański nieopatrznie powiedział w Tefałenie, że dronów wcale nie trzeba zestrzeliwać, można je sprowadzać na ziemię (w sensie: zhakować i przejąć prowadzenie), a także łapać w coś w rodzaju siatki, bo i takie urządzenia istnieją. No, ale zestrzelenie wygląda znacznie bardziej spektakularnie.

Żeby nie było, że gen. Różański – w końcu czynny polityk Polski 2050 – jest rzadkim głosem spokoju i rozsądku w ogólnej histerii, zacytujemy jego inne zdanie. Zapytany, czy używanie rakiet za bańkę papieru do zestrzeliwania samolocików ze styropianu nie jest strzelaniem z armaty do wróbla, odrzekł: „Powiem rzecz, która może będzie prowokacyjna: bezpieczeństwo nie ma ceny. Prowadzenie wojny jest kwestią kosztowną. Jeżeli społeczeństwo ma świadomość, jak dużo miliardów wydajemy na bezpieczeństwo, to tutaj te zastrzeżenia są merytorycznie uzasadnione, ale w obecnej sytuacji chyba nie powinny być podnoszone". Ależ my nie prowadzimy wojny, Panie Generale.

Choć tego ostatniego trudno było się domyślić, oglądając środowe media. Nas najbardziej ubawiła skwapliwość, z jaką najważniejsze osoby w Polsce przepychały się w pierwszym rzędzie siewców paniki. Marszałek Hołownia o 9:51: „Chcę poinformować państwa, że na moją prośbę pan premier przedstawi sejmowi informację w sprawie tego, co wydarzyło się dzisiejszej nocy". Premier Tusk o 10:11: „Pozwoliłem sobie poprosić pana marszałka sejmu o możliwość wygłoszenia tej informacji". Po południu do walki włączył się wicepremier Sikorski: „Jak już państwo wiecie, padła komenda: strzelać. Pragnę podkreślić, że Polska nie da się zastraszyć". I jeszcze dodał dramatycznie: „Tego, czego wczorajszej nocy doświadczyli Polacy, na znacznie większą i bardziej tragiczną skalę doświadczają prawie każdej nocy nasi ukraińscy sąsiedzi". Serio? Dzień wcześniej w ataku rosyjskiego drona w Jarowej na Donbasie zginęło 24 staruszków, stojących w kolejce po emeryturę. Czy Radek naprawdę chce to porównywać?

Środowa wojna z dronami skutecznie odwróciła uwagę od wcześniejszej wojny pałaców. Po tym, jak Karol Nawrocki zawetował siedem ustaw, rząd przyjął znaną z historii strategię „ani kroku wstecz". Szczególnie ambitnie zaprezentował ją min. Domański, zapytany przez dziennikarza, czy nie byłoby rozsądnie „podilować" z prezydentem, proponując mu przyjęcie jakiegoś pożądanego przez niego rozwiązania w zamian za podpis pod ustawą, na której zależy rządowi. Minister finansów odparł hardo: „To rząd rządzi, nie dilujemy, przedstawiamy takie projekty ustaw, na których korzysta Polska gospodarka". I jeszcze, że „konstytucja jest bardzo jasna, jeśli chodzi o prerogatywy prezydenta i zadania rządu, więc tutaj nie ma mowy o dilowaniu". Problem w tym, że konstytucja bardzo jasno daje prezydentowi prawo weta. I już wiemy, że jest to ulubiona zabawka Karola Nawrockiego. Jeśli koalicja rządząca nie zacznie myśleć logicznie zamiast ambitnie – wkrótce się przekonamy, czy rząd może rządzić bez żadnych ustaw. A wybory za dwa lata…

W ramach rekonstrukcji rządu z Ministerstwa Zdrowia wyleciało trzech wiceministrów z nadania partyjnego – Wojciech Konieczny z Lewicy, Marek Kos z PSL i Urszula Demkow z Polski 2050. Nie żebyśmy był przywiązani do partyjnych nominatów, ale akurat ta trójka miała także merytoryczne kompetencje – wszyscy są lekarzami z doświadczeniem w zarządzaniu służbą zdrowia – co przywodzi nas do myśli, że może nie do końca o kompetencje tu chodzi. PPS, której przewodniczy Konieczny, wydała cokolwiek niepokojące oświadczenie: „Nie po drodze nam z prywatyzacją i komercjalizacją polskiej ochrony zdrowia. Stąd rozstanie PPS z tym ministerstwem". Odgryzła mu się Marcelina Zawisza: „Wojciech Konieczny za stanowisko zgodził się wejść do rządu Tuska i dał zielone światło do głodzenia ochrony zdrowia. Przypomnę, że bez klubu Lewicy rząd Tuska nie ma większości". Generalnie Zawisza ma rację i od dawna piszemy o tym, że odchodząc z koalicji – co uczyni z gabinetu Tuska rząd mniejszościowy – Lewica miałaby znacznie większe szanse na wywalczenie elementów swojego programu. Ale już naprawdę nie chce nam się patrzeć, jak się żrą lewackie kanapy.

Nielewackie też się żrą. Zanim drony zasiały jedność w obozie władzy, głęboką ekscytację wzbudziła w nim informacja, że Michał Kamiński był w USA w tym samym czasie co Adam Bielan. Kamiński, bijąc się w piersi i wzywając imienia bożego, zapewnia, że się z Bielanem nie widział, ale media mu nie ufają. „Newsweek" donosi: „Tajna wyprawa Michała Kamińskiego" i dodaje: „Z Trumpem łączy go nienawiść do Tuska". TVN mu wtóruje: „Pytania wokół lojalności wobec obozu rządzącego Michała Kamińskiego ciągną się od dłuższego czasu; nie pomogło też nocne spotkanie z prezesem Kaczyńskim". Kamiński to – między nami mówiąc – wyjątkowo paskudna kreatura, ale nie macie wrażenia, że pojęcie „lojalności" zrobiło nam się cokolwiek stalinowskie?

W Polsacie wystąpił prof. Kołodko, który powtórzył swoje ulubione herezje: że wydawanie 5 proc. na zbrojenia jest głupie i że Rosja nie zaatakuje Polski, bo nie ma ani takiej intencji, ani takiej możliwości. I jeszcze dodał, że Tusk nie zna się na gospodarce i nie ma w rządzie nikogo, kto miały jakikolwiek pomysł na jej temat. No i jak tu nie kochać Kołodki?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Wrzesień 2013 r.

Świętej Raissy

W ubiegłym tygodniu nie było bloga, gdyż polegiwałem na francuskiej wyspie, a tam tylko francuskie bałwany na morzu i lądzie. W tym czasie najważniejszej w Polsce osobie – matce Madzi – sąd wlepił okrutny wyrok 25 lat i jeszcze przed gawiedzią tłumaczył się z tego, że nie dał dożywocia. Liczyłem na 12 do 15 lat. W końcu zabiła własną mało co kumającą córkę. I nie było to morderstwo z niskich pobudek, gdyż nie zrabowała tej Madzi pieniędzy. Ufam, że sędziowie apelacyjni zrozumieją, iż Katarzyna W. się zagapiła i była to po prostu spóźniona skrobanka.

Świętego Bertranda

Nielubiące PiS media przypuściły atak na Adama Hofmana, a przy okazji agenta Tomka i wicekaczora, pana Lipińskiego. Na trasie służbowej upili się jak Polacy i baraszkowali. Znany z poczucia humoru rzecznik PiS żartował, że jego penis nie zmieściłby się w szafie. Mógł mieć na myśli szafkę dla lalek. Narodowe i katolickie media zapomniały się zgorszyć i incydent przemilczały. Media liberalne zawyły z oburzenia, co mnie ubawiło. Hołota bawi się jak hołota, a służbowe pożeranie opłatków trzeba przecież gdzieś odreagować.

Na wyborcach PiS ludowe maniery nie robią złego wrażenia. Ach, gdybyż taki Hofman przed kamerą kogoś zerżnął i potem zarżnął, to może by PiS-owi coś spadło…

U nas za socjalizmu prącia pokazywali sobie tylko przyszli politycy, na razie osadzeni w niższych klasach szkolnych i społecznych.

Świętego Alana

Celebryci wydają pieniądze na kosztowne, bo wystawne albo dziwaczne śluby. Taniej wypadałaby inscenizacja ze statystami i łapówki dla sprawozdawców. Ale nie, bo po ślubie elegancko jest urodzić bachora i szumnie się rozwieść. Celebryci przybywają na lepsze przyjęcia, żeby zachować swój status i potem brać pieniądze za uświetnienie gorszych przyjęć. Wydają je na ustawki z paparazzi. Te i inne mechanizmy obrotu gwiazd są nie do pojęcia dla człowieka z zewnątrz, który nie zagląda do odpowiednich portali i tabloidów. Potrzebny nam jest odpowiednik prof. Malinowskiego, który 100 lat temu badał i opisywał społeczności „dzikich" ludzi, ich obyczaje, seks i obrzędy.

Świętej Ines

Będą wprowadzone nowe zasady procesu karnego. Prokurator i adwokat mają wojować ze sobą jak na amerykańskich filmach, a sędzia być arbitrem jak na meczu. Obecnie wszystkie trzy gatunki prawników odbywają przeszkolenie do nowych ról. Czwarty uczestnik procesu, mianowicie oskarżony, jak zwykle się nie liczy. My, oskarżeni, żądamy kursów także dla kryminalistów. Często staję przed sądem w tej roli, teraz mam przed sobą dwa procesy karne i czuję się na nich jak zbędny mebel. Czy raczej jestem daniem, które prawnicy pożerają, jednak tym różnię się od golonki, że ja płacę.

Świętego Adolfa

Dokonuje się sakralizacja „żołnierzy wyklętych". W czasach gdy działali, ja jako 11–15-latek postrzegałem w nich bandytów i głupków, co na ogół wyklucza się wzajemnie. Ostatnio myślę o tych straceńcach z niejakim zrozumieniem. Rządy PiS wydają się coraz bardziej nieuchronne, a jawią się czymś tak strasznym, jak dla „wyklętych" władza komuny. Kaczyński wisi nad tubylcami jak wielka czarna chmura; doskwiera czekanie, co z niej spadnie. Niszczący grad czy oblepiające gówno?

Świętego Apolinara

Moja poprzednia żona mawiała: jak piję, to nie jem, a jak jem, to piję. Obecna moja ukochana żona w ogóle nie jada, gdyż wtedy miałaby pełne usta.

Świętego Aime

Wszystko, co mogłem, tu i tam o sobie opowiedziałem, ale po raz pierwszy zdradzam, że byłem narkomanem. Po prostu o tym zapomniałem. Zresztą będąc narkomanem, nie miałem świadomości, że nim jestem. Przez drugie 25 lat życia męczyły mnie okresowe, ale silne bóle. Powodowała je choroba wrzodowa dwunastnicy, która przeszła mi dzięki wstąpieniu do rządu. Uśmierzałem te bóle, łykając belladonnę. Nie wiedziałem, że to roztwór opium, lecz tylko, że to płyn, który pomaga. I tak sobie łykałem z butelki jak niemowlę – coraz większe dawki. Po chlapnięciu nie mogłem czytać, tak rozszerzały mi się źrenice. Nie kojarzyłem tego z płynem, który piję, bo co ma dwunastnica do oczu. Przerażało mnie, że ślepnę i chodziłem do okulisty. Wtedy to robiłem, kiedy mnie nie bolał bebech, więc belladonny nie piłem. Doktor oczny niczego zatem nie znajdował i radził mniej czytać. Dziś ludzie umieją być chorzy, za socjalizmu na chorobach znali się tylko lekarze i emeryci. O przygodzie z belladonną opowiadam, żeby zapewnić, iż narkotyki raczej nie szkodzą. Oraz żeby powiedzieć, iż w roli chorego byłem tak głupi jak teraz, czytając wywody o leczeniu gospodarki. Wobec kryzysu, z którego wychodzimy, właściwa jest rada okulisty z PRL: mniej czytać.

PS do świętej Raissy

Śniło mi się, że rżnąłem kobietę. Z przerażenia spadłem z łóżka, stłukłem sobie ramię i złamałem paznokieć. Koszmar ten przeżyłem nad morzem. Widocznie napatrzyłem się na dziewczyny na plaży. Miewam, owszem, różne przejścia, ale za to nie mam raka. A ty?

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Janusz Piechociński** informuje, że przeciętny Polak ma próchnicę aż w 13 zębach. Prosimy nie nazywać prezesa Kaczyńskiego przeciętnym.
- **Karol Nawrocki** kazał usunąć flagę Unii Europejskiej ze swojego gabinetu. Wiadomo, gdzie zawiśnie flaga Lechii Gdańsk.
- Portal **fronda.pl** apeluje o naukę łaciny, aby ograniczyć lewackie szaleństwa. Prawaki po łacinie: A w mordę chcesz?
- **Radiomaryja.pl** alarmuje, że dzieci są zmuszane do zajęć edukacji zdrowotnej. O zdrowie to się trzeba modlić.
- **Policja** oddaje do adopcji psy, które są zbyt łagodne do służby. Przed adopcją radzimy upewnić się, że pies nie ma żony ani dzieci.
- W Krakowie okazało się, że **nocna prohibicja** nie zaszkodziła turystyce. Ciekawe, jak się miewa rdzenna ludność?

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Droga Redakcjo!

W moim prawie 60-letnim życiu ćwierćwiecze spędziłem w Polsce, resztę na emigracji. Jestem Waszym czytelnikiem od powstania. Uważam, że Wasze pismo powinno być bardziej komunistyczne i powinno propagować socjalizm. „NIE" było to pismo, które ujawniało afery i pokazywało, że każdy jest do kupienia, a z czasem zaczęło być pismem bardziej opiniotwórczym i lewicującym. (...)

Brak mi pochwały socjalizmu i byłych/obecnych krajów socjalistycznych (w mediach nazywanych komunistycznymi, dyktatorskimi, reżimowymi). Polacy nie byli w mojej młodości takimi homofobami, rasistami i aż tak wielkimi „patriotami", byli bardziej tolerancyjni, uczyła nas tego pierwsza czytanka (...).

Zachód jest bogatszy niż byłe państwa obozu socjalistycznego (Chiny zaczynają być wyjątkiem od reguły). Moim zdaniem są tego dwa główne powody. Pierwszy – kolonialna przeszłość: rabowanie wszystkich bez wyjątku dóbr i niewolnictwo w różnych postaciach. Te mocarstwa, kierowane de facto przez bogatych, w jakimś sensie dalej prosperują, zmieniły się tylko narzędzia (wojny i odbudowa po nich, World Bank, wykupienie gospodarki mniejszych krajów i kupowanie polityków, medialne międzynarodowe organizacje, sojusze wojskowe). Państwa socjalistyczne były obłożone sankcjami, nawet u nas za Gierka transfer technologii był zawieszony. Jednak prawie nie było bezdomnych, każdy miał pracę, darmową opiekę zdrowotną, szkolnictwo i pomoc socjalną, opiekę państwa nad inwalidami ludźmi upośledzonymi, mieszkania na „książeczkę" po 10–15 latach. (…) Cenzura w PRL była opresyjna – a na Zachodzie nie ma cenzury, tylko ci śmiałkowie, którzy podskoczą, najczęściej tracą pracę, kontrakty lub są ciągani po sądach. (…)

Myślę, że „NIE" może pokazać, jakie były PRL i socjalizm. Mówić o tym, kto odbudował Polskę: ludzie i pomoc krajów socjalistycznych i ZSRR (stal technologie itd.). Jak Polska była uprzemysłowiona – i myślę, że można tu wyliczyć gałęzie przemysłu, bo młodzi Polacy nic o tym nie wiedzą. Jaka była opieka nad niepełnosprawnymi (spółdzielnie pracy itd.), darmowa opieka zdrowotna, szkoły, uczelnie. Może nie było luksusu przez sankcje Zachodu – ale czy teraz biedni mają luksusy?

Powinniście też pokazać, co zrobiła „demokracja" z naszym krajem. Wykupiono potężne zakłady, częstokroć za ówczesną miesięczną wypłatę robotnika doprowadzono do ruiny i zlikwidowano (konkurencja dla zachodnich firm).

(…) Kończę, bo mógłbym tak długo jeszcze.

Pozdrawiam
Krzysiek

eprasa.pl b921f55bef

Dobry dziennikarz to martwy dziennikarz

Hamasiarze do piór!

„Palystianizm stał się pretekstem do wyrażania wsparcia dla terrorystów i narzędziem islamizacji Zachodu. Użytecznych idiotów fanatyzmu jak zwykle na Zachodzie jest wielu” – napisał w swoich socjalach nieszczęsny Tomasz Lis, zrównując wszystkich sprzeciwiających się izraelskiej okupacji i ludobójstwu w Strefie Gazy ze zwolennikami Hamasu.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Opętani terrorem

Nawiasem mówiąc, wśród proizraelskich polityków i dziennikarzy ukuł się na tę okoliczność uroczy termin „hamasiarze”. Hamasiarzami są eksperci ONZ wskazujący, że Izrael dopuszcza się ludobójstwa w Gazie poprzez masowe zabójstwa, powodowanie poważnych szkód cielesnych lub psychicznych oraz celowe tworzenie warunków życia prowadzących do fizycznego wyniszczenia Palestyńczyków.

Z tego samego powodu do grona wyznawców proterrorystycznego palystianizmu zaliczone zostały kolejno organizacje takie jak: Amnesty International, Human Rights Watch, Międzynarodowa Federacja Praw Człowieka, Genocide Watch, Instytut Lemkina ds. Zapobiegania Ludobójstwu, B’Tselem, Physicians for Human Rights Israel i wreszcie Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości. Wszyscy oni ulegają propagandzie Hamasu, która wysyła palestyńskie dzieci na rzeź i kręci łzawe filmiki puszczane na Instagramie

Być może orędownicy izraelskiego apartheidu – przepraszam, prawa do obrony – przewietrzyliby nieco czerepy, gdyby Izrael wpuścił do Strefy Gazy dziennikarzy z innych części świata. Są tam wprawdzie wyselekcjonowani izraelscy pracownicy mediów, akredytowani przy dowództwie armii, lecz ich materiały szerokim łukiem omijają głodowe unicestwienie Palestyńczyków i mało apetyczne obrazki wszechobecnej śmierci cywilów.

Nikt spoza regionu nie wjedzie do Gazy. Oficjalnie przez wzgląd na aspekty bezpieczeństwa wojskowego. Według izraelskiej narracji dziennikarze mogliby nieświadomie (lub celowo) ujawnić pozycje IDF, co ułatwiłoby Hamasowi ataki. Organizacje takie jak Committee to Protect Journalists (CPJ) i Reporters Without Borders (RSF) twierdzą, że zakaz to próba ukrycia „pełnego horroru wojny” i naruszenie wolności prasy, co oczywiście izraelscy urzędnicy z automatu nazywają antyizraelską propagandą i antysemityzmem.

Neutralizacja prawdy

Póki co to Agencja Reutera przestała udostępniać Izraelowi informacje o lokalizacji swoich zespołów w Strefie Gazy. Na początku konfliktu Reuters, podobnie jak inne agencje informacyjne, informował o usytuowaniu swoich współpracowników, aby upewnić się, że nie staną się celem ataku IDF. Sprawy przybrały zgoła inny obrót po zamachu izraelskiej armii z 10 sierpnia br., kiedy to w podwójnym ostrzale szpitala Al-Szifa w mieście Gaza zginęło czterech pracowników Al Jazeery, dwóch dziennikarzy freelancerów i postronny mężczyzna.

W ataku dronowym na namiot, w którym przebywali dziennikarze, życie stracił m.in. Anas al-Sharif, jeden z najbardziej rozpoznawalnych palestyńskich reporterów relacjonujących na żywo sytuację w Strefie. Mohamed Moawad, redaktor naczelny Al Jazeery, nazwał go „ostatnim głosem w mieście Gaza”. Izraelskie media oraz wojsko uzasadniły przerobienie dziennikarza na mielonkę rzekomym powiązaniem Anasa al-Sharifa z Hamasem. Co ciekawe, Komitet Obrony Dziennikarzy (CJP) już pod koniec lipca oświadczył, że jest poważnie zaniepokojony bezpieczeństwem al-Sharifa, który stał się celem „kampanii oszczerstw” ze strony izraelskiej armii, co może doprowadzić do jego zabójstwa. Morderstwo dziennikarza potępił także jego izraelski kolega po fachu i współreżyser oscarowego dokumentu „No Other Land” Yuval Abraham.

Nawet gdybyśmy (czego nie zrobimy) uznali zarzuty Izraela za zasadne, egzekucja pozostałych sześciu cywilów była – delikatnie mówiąc – aktem nieproporcjonalnym i naruszającym prawo międzynarodowe.

Izrael ma to oczywiście w dupie.

Ponad prawem

Celowe masakrowanie dziennikarzy w świetle prawa międzynarodowego jest zbrodnią wojenną. Oczywiście proceder nie jest nowy i ma miejsce w wielu częściach świata objętych konfliktami zbrojnymi.

Dziwnym jednak trafem w Gazie zamordowano dotychczas więcej korespondentów wojennych niż w czasie obu wojen światowych, a także wojen w Wietnamie, Afganistanie i Jugosławii razem wziętych.

Żeby nie być gołosłownym: w czasie II wojny światowej życie straciło 69 osób pracujących w tym zawodzie. Wojna w Wietnamie pochłonęła 63 dziennikarskie życia. W 2006 r. w Iraku śmierć poniosło 56 pracowników mediów. W Ukrainie (od 2022 r.) zginęło 14 dziennikarzy. Według ONZ w Gazie ta liczba wyniosła 242 osoby, choć trudno ją doprecyzować, biorąc pod uwagę niejednolitą definicję dziennikarza oraz fakt, że część zabitych zalicza się do grupy asystentów, kamerzystów, osób niezwiązanych kontraktem z żadnym dużym medium czy twórców relacjonujących wydarzenia przez social media.

Niemniej według danych z raportu CPJ z maja 2023 r. wynika, że jeszcze przed „pełnoskalową wojną” w Gazie, w ciągu 22 lat poprzedzających jego publikację izraelskie siły zbrojne zabiły co najmniej 20 dziennikarzy, w większości Palestyńczyków. W żadnym przypadku nikt nie odpowiedział za te morderstwa karnie.

CPJ wielokrotnie alarmowała, że zabójstwa, cenzura, aresztowania, zakaz dostępu niezależnych mediów do Strefy Gazy i wyłączanie internetu poważnie ograniczyły możliwość relacjonowania wojny, utrudniając jej dokumentację. Szczęście w nieszczęściu, nie całkowicie. Dzięki temu dziś to nie palestyńscy dziennikarze muszą obawiać się oskarżeń o brak obiektywizmu – choćby nie wiadomo jak hasbara – po naszemu izraelska propaganda – i całe służące jej lobby próbowały przyprawić im gębę.

IDALIA DUBICKA

Wyrok w procesie piątki z Hajnówki

Człowieczeństwo póki co bezkarne

Sędzia Sądu Rejonowego w Hajnówce Adam Rodakowski – zapamiętajmy jego nazwisko, bo na to zasługuje – uniewinnił pięcioro działaczy, którzy za to, że ratowali życie migrantom na białoruskiej granicy, zostali przez prokuraturę oskarżeni o przemyt ludzi w celu „osiągnięcia korzyści osobistej”. „Nie ma dowodów, by oskarżeni osiągnęli jakąś korzyść osobistą lub majątkową; nie można interpretować przepisów w taki sposób, że chodzi o korzyść dla osób, którym udzielono pomocy” – mówił sędzia. Wyrok nie jest prawomocny, ale daje nadzieję na to, że polowanie na ludzi, którzy karmili konających z głodu, przestanie być narzędziem awansu w prokuraturze.

Proces Piątki z Hajnówki to żaden przypadek.

Tak za rządów PiS, jak i teraz, kiedy stery władzy trzyma mocno „Uśmiechnięta Koalicja”, wolontariusze z pogranicza, ratujący resztki człowieczeństwa w coraz bardziej zdehumanizowanej i militaryzującej się Europie, mogą na sobie ogniskować gniew prawicowego elektoratu.

Jako ci „pożyteczni idioci Kremla i Baćki z Białorusi”, czyli w najlepszym wariancie polityczni naiwniacy. Lub – w tej gorszej wersji – jako agenci Putina, w nieformalnym sojuszu ze środowiskiem przestępczym zawodowych przemytników. Z których większość pochodzi z Ukrainy, którą polski naród wybrany – jak dowodzą sondaże – właśnie ostentacyjnie przestaje kochać.

Dlatego Prokuratura Krajowa, tak za Ziobry, jak i Korneluka, od samego początku sterowała tym śledztwem. Co potwierdziliśmy w solidnym źródle.

– Prokuratura w osobie oskarżającej piątkę Magdaleny Rutyny dostała z samej krajówki konkretne wytyczne dotyczące wymiaru kary, jakiego miała się domagać na rozprawie 2 września – twierdzi nasza wiewiórka z pałacu sprawiedliwości, dodając, że po korytarzach krąży w tym kontekście nazwisko prokuratora regionalnego w Białymstoku, Tadeusza Marka.

Według naszego rozmówcy Rutyna – awansowana poza konkursem z funkcji asesora na prokuratora właśnie – spłaca swoim zaangażowaniem w ten proces dług wdzięczności wobec tych, którzy dali jej lepszy stołek.

– Kto wie, czy to nie początek oszałamiającej kariery zawodowej? – spekuluje nasz informator. – Na horyzoncie być może majaczy już funkcja zastępcy prokuratora rejonowego w Hajnówce, a potem, przy sprzyjających wiatrach, nawet szefostwo tej rejonówki...

Prawdziwą ironią losu jest przy tym, że w czasie trwania procesu piątki Sąd Okręgowy w Białymstoku przyznał po cichu 12 tys. zł kobiecie związanej ze środowiskiem podlaskich nacjonalistów spod znaku swargi – takiej słowiańskiej odmiany hakenkreuza.

Warto przypomnieć tę historię, tym bardziej, że w marcu 2024 r. ten sam sąd dwójkę z trójki faszoli uniewinnił z braku przekonujących dowodów, a jednego z nich skazał na rok w zawieszeniu.

17 listopada 2021 r. podlaska policja zatrzymała trzy osoby – wspomnianą kobietę i dwóch mężczyzn – podejrzewanych o zniszczenie kilka dni wcześniej, w Świnorojach (gmina Narewka), aut działaczy organizacji Medycy na Granicy, pomagającej wtedy migrantom błąkających się po lasach. Wstępnie zebrane dowody okazały się na tyle mocne, że sąd „przyklepał” panom dwumiesięczny areszt, a kobiecie – policyjny dozór, zakaz opuszczania kraju oraz 10 tys. zł poręczenia majątkowego. – Bo „tylko” podobno robiła za kierowcę swoich kolegów – słyszeliśmy wtedy od jednego ze śledczych.

Okazuje się teraz, że kobieta, która po zatrzymaniu trafiła oczywiście na kilkudniowy dołek, za ten chwilowy brak sznurowadeł w butach i twardą pryczę, zażądała zadośćuczynienia. I sąd uznał jej krzywdę.

Proszę uprzejmie teraz zestawić sobie obie historie z pogranicza polsko-białoruskiego i odpowiedzieć na proste pytanie: co to, kurwa, ma być?

JMP

Winston Tusk

Chichot z Moskwy

Nie ma wątpliwości co do tego, że „atak rosyjskich dronów na Polskę” był prowokacją.

I że daliśmy się sprowokować.

W nocy z wtorku na środę kilkanaście dronów wleciało znad Białorusi nad Polskę. Osobiście obstawiam, że była to drwiąca odpowiedź na twardzielskie ogłoszenie Tuska z wtorku, że z powodu manewrów Zapad 2025 „zamknie granicę z Białorusią”. Odpowiedź owa, tłumacząc z języka gestów na język słów, brzmiała mniej więcej: „Zamknąć to ty se możesz drzwi od wychodka” . Trzy, a może cztery drony zostały zestrzelone, jeden uszkodził dach domu w Wyrykach pod Włodawą (nie wyjaśniono, czy spadł sam, czy to może któryś z tych zestrzelonych); nikt nie zginął, nikt nie został ranny.

Na tym można było zamknąć sprawę: wydać rano suchy komunikat, podkreślić brak ofiar i minimalność strat, skuteczną reakcję polskiego wojska i służb, szybką pomoc sojuszników, dorzucić apel, że jak ktoś coś znajdzie, to nie macać, tylko dzwonić na 112 – i tyle. Żeby zacytować Donalda Trumpa: *be cool*. Byłaby to odpowiedź kraju niedającego się wytrącić z równowagi, pewnego swojej armii i swoich sojuszy, a także swojego wywiadu. Ale gdzie tam.

Donald Tusk kocha być premierem wojennym. Od Churchilla dzieli go już tylko kilka nocnych alarmów.

O 6:20 Adam Szłapka ogłosił na X, że „trwa spotkanie premiera Donalda Tuska z ministrami odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo państwa”, o 6:30 premier spotkał się z prezydentem, na 8:00 zwołał nadzwyczajne posiedzenie Rady Ministrów, przed którym oczywiście odbyło się miniprzestawienie dla mediów. „Nie ma powodu do paniki, życie będzie się toczyło normalnie” – ogłosił Tusk. – „W tej chwili nikt nie ma powodu, aby wprowadzać jakieś restrykcje, które by utrudniły życie codzienne obywateli. Jeśli będzie taka potrzeba, będziemy oczywiście na bieżąco komunikować”. Założę się, że gdyby premier o tym nie wspomniał, nikt nie pomyślałby, że życie może nie toczyć się normalnie, a władza może wprowadzać restrykcje z powodu kilkunastu dronów, o których nawet nikt nie twierdzi, że były uzbrojone. Ale kiedy szef rządu wygłosił takie zdanie – wizja stanu wojennego i obowiązkowych spędów w nieistniejących skądinąd schronach zagościła w niejednej głowie. A na koniec premier przestrzegł jeszcze, że „Rosjanie są bardzo aktywni w sieci, dezinformacja, fałszywe informacje, próby siania paniki będą nam na pewno towarzyszyły”…

Do „prób siania paniki” nie potrzebujemy ruskich trolli – świetnie radzą sobie z tym najważniejsze osoby w państwie. Obok Tuska – który niewątpliwie był gwiazdą środowej gównoburzy – nogę do kucia podstawili także prezydent Nawrocki, marszałek Hołownia, szefowie większości resortów, wojewodowie i każdy, kto tylko mógł stanąć z namaszczoną miną przed kamerą. Wszystkie telewizje informacyjne zrobiły całodniowe „programy specjalne”. Kraj wstrzymał dech. Nie napiszę, że „na Kremlu strzelały korki od szampana” – ale podejrzewam, że mogło tam się pojawić przelotne rozbawienie.

Choć bardzo lubię rosyjską muzykę, myślę sobie, że akurat teraz nie powinniśmy tańczyć, jak nam z Rosji zagrają.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl b921f55bef

Dwie debaty

Refleksja z Regeneracji

W ramach dziwacznego aliansu między prawicą i lewicą Kanał Zero pokazał na żywo dwie debaty stanowiące gwoździ programu Kongresu Regeneracja. Kongres, poświęcony badaniu ścieżek rozwoju ekonomicznego Polski – w kwestiach od energetyki przez kulturę po mieszkalnictwo – został zorganizowany w Dąbrowie Górniczej przez Polską Sieć Ekonomii.

PSE to bardzo sympatyczna organizacja, której twarzami są Jan Oleszczuk Zygmuntowski i prof. Zofia Łapniewska. Sieć zrzesza ekonomistów, ekspertów i społeczników – głównie sympatyzujących z lewicą. Także w kongresie prym wiodły postaci głównie z lewej strony sceny politycznej: Joanna Senyszyn, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Wojciech Konieczny czy Janek Śpiewak. Celem organizacji jest promocja pluralizmu w naukach ekonomicznych, ale też dbanie o jakość debaty publicznej wokół zrównoważonego rozwoju.

Biejat vs Gzik

Głównymi bohaterami debat byli rozwiedzeni rodzice współczesnej lewicy: Adrian Zandberg oraz Magdalena Biejat. Na szczęście nie było to bezpośrednie starcie między Magdą a Adrianem – obawiam się, że po wydarzeniach kampanii prezydenckiej coś takiego złamałoby serce młodym lewicowym wyborcom już do reszty. Zamiast tego byli lewicowi kandydaci dostali po adwersarzu z konkurującej opcji politycznej: jedno liberała, drugie konserwatystę.

Ktokolwiek zdecydował o takim ustawieniu ringu, był z pewnością świadom możliwości danych graczy.

Biejat raczej nie poradziłaby sobie z Mateuszem Morawieckim, więc z byłym premierem rozmawiał Potężny Duńczyk. Jej z kolei jako interlokutora przydzielono wiceministra edukacji Marka Gzika, który rozpłakałby się prawdopodobnie na sam widok Zandberga.

W rozmowie między Biejat a Gzikiem nie wydarzyło się nic, czego nie można by było tak naprawdę przewidzieć. Gzik dwoił się i troił, aby udowodnić, że rządy obecnej koalicji cokolwiek robią – na jego nieszczęście moderatorem był młody pracownik naukowy i związkowiec, dr Maciej Grodzicki, który nawet nie próbował ukrywać, jak bardzo zalazła mu za skórę indolencja koalicji rządzącej w kwestii oświaty i szkolnictwa wyższego. Wiceminister, próbując się przed Grodzickim bronić, bywał wyjątkowo pocieszny. Pod tym względem obecność Grodzickiego była – mimo ewidentnego braku obiektywizmu z jego strony – potrzebna do nadania rozmowie dynamiki. Nic bowiem nie groziło ministrowi ze strony Magdaleny Biejat, która nie śmiała mocniej pocisnąć kolegi koalicjanta.

Sama Biejat, mimo wyrobionej w kampanii pewności w głosie i ogólnej prezencji, wykazywała pewną lękliwość: np. zapytana o sankcje wobec Izraela, mówiła rzeczy mądre i słuszne, ale nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że nerwowo rozgląda się pod sali, jakby wypatrywała grożącego jej palcem Donalda Tuska.

Nagrodą za obejrzenie tego mało efektownego spektaklu było następujące po nim starcie między Morawieckim i Zandbergiem.



Rys. TOMASZ WIATER

Zandberg kontra Morawiecki

Po tym, jak Adrian Zandberg uprzejmie schylił się, aby Mateusz Morawiecki mógł podać mu dłoń na powitanie, padło pytanie o kontekst, w jakim powinniśmy odczytywać pojawienie się Polski wśród 20 najsilniejszych światowych gospodarek. Były premier odpowiadał jako pierwszy, zaczęło się więc spokojnie – żeby nie powiedzieć nudno. Dostaliśmy makaroniczny wywód pełen obcych wyrazów, podniosłych metafor, odniesień do historii – ogólnie rzecz biorąc, imponująco dużo słów dla przekazania stosunkowo niewielkiej treści (podobnie się kombinowało w podstawówce na rozprawkach z polskiego). Morawiecki chyba właśnie taki miał pomysł na tę rozmowę, ale Zandberg ewidentnie wyprowadził go z równowagi.

Po pierwszej wypowiedzi lidera Razem były premier zaczął zachowywać się jak rozjuszony york i do tonu kaznodziei wrócić już nie zdołał. Zandberga to zapowietrzanie się Morawieckiego wyraźnie bawiło coraz bardziej, więc im bardziej prawak się denerwował, tym bardziej szampański był humor lewaka (i przyznam się Państwu absolutnie szczerze, widok cieszącego się Adriana Zandberga z jakiegoś powodu zawsze ogrzewa mi serduszko).

Jednocześnie nie można zarzucić Morawieckiemu nieprzygotowania czy braku merytoryki: mimo ewidentnej irytacji wypadł – czy nam się to podoba, czy nie – naprawdę dobrze (a w porównaniu z ministrem Gzikiem wręcz fantastycznie). A kiedy zestawiał rządy PiS-u z dotychczasowymi dokonaniami koalicji rządzącej, zazwyczaj dość ciężko było nie przyznać mu racji.

Niezależnie od moich prywatnych sympatii i poglądów – muszę przyznać, że oglądając tę rozmowę, można było zrozumieć, dlaczego Mateusz Morawiecki tyle czasu przodował w rankingach zaufania społecznego. Mimo ustawicznego plucia jadem na Unię Europejską, poglądów byłego premiera – przynajmniej ekonomicznych – nie sposób uznać za ekstremistyczne, a już absolutnie nie można zarzucić mu niekompetencji.

Adrian Zandberg poradził sobie tak, jak zazwyczaj radzi sobie w tego typu sytuacjach – czyli dobrze. Jest merytoryczny, ma w sobie dużo luzu i co najważniejsze – absolutnie nie daje się sprowokować, czego Morawiecki z pewnością mógłby się od niego uczyć. Przez całą rozmowę pozostał pewny siebie, nie udając przy tym nieomylnego. Z drugiej strony ci, którzy spodziewali się jatki czy kompromitacji byłego premiera – musieli czuć się rozczarowani.

I to nawet pomijając fakt, że moderujący tę rozmowę Jan Oleszczuk-Zygmuntowski wykazał się jeszcze mniejszym obiektywizmem i taktem niż jego poprzednik – i przy tym chciałabym się na chwilę zatrzymać.

Gospodarze przeciwko gościom

Samo zorganizowanie debaty przez Polską Sieć Ekonomii uważam za fantastyczny pomysł – świetnie, że ktoś zmierza do ucywilizowania polskiego dyskursu politycznego i takie rozmowy powinny odbywać się regularnie, nie tylko przy okazji wyborów. Niemniej jednak, jako lewica – a nie oszukujmy się, PSE jest organizacją o profilu wyraźnie lewicowym – zapraszając kogoś na rozmowę, jesteśmy winni mu szacunek, bez względu na to, czy go lubimy, czy nie. Brak szacunku jest wizerunkowym strzałem w stopę – a w sytuacji, w jakiej znajduje się dziś polska lewica, powinniśmy o ten wizerunek dbać. Podśmiechujki i ewidentna przychylność wobec jednego gościa, przy jednoczesnym atakowaniu drugiego są i niekulturalne, i niedopuszczalne – zwłaszcza że, umówmy się, Morawiecki nie miał szczególnego interesu w przyjeżdżaniu na jakiś lewicowy kongresik w Dąbrowie Górniczej i swoją obecnością bardzo przysłużył się zarówno prestiżowi wydarzenia, jak i Kanałowi Zero. Także w przyszłości byłoby z pewnością miło, gdyby PSE nauczyła się traktować swoich gości z szacunkiem.

Jeśli miałabym podsumować jakoś ogólne wrażenie, jakie pozostawili po sobie lewicowi kandydaci – raczej nikt sobie swoim wystąpieniem nie zaszkodził. Dodajmy jednak fakt, o którym już wspomniałam – zarówno Biejat, jak i Zandberg dysponowali warunkami wręcz cieplarnianymi: lewicujący organizator i (aż nadto) przychylni im moderatorzy obu rozmów. Pytanie, czy utrzymanie obecnego poziomu wystarczy do tego, żeby lewica się utrzymała w parlamencie. Myślę, że na to pytanie mogą sobie Państwo odpowiedzieć sami.

ANTONINA STEFFEN

Dość głupstw

SŁOWO CZERWONE

Dlaczego nie jestem politykiem

Bo nie chce mi się poddawać trendom. Bo zanim coś powiem czy napiszę, nie sprawdzam, co o tym sądzi większość w sondażach. Opinia publiczna jest kształtowana przez tzw. elity. Wystarczy, że wyjdzie jakiś dureń typu Trump i ogłosi, że nie ma kryzysu klimatycznego, a inni durnie będą to powtarzać. Wtedy polityk, który powie coś przeciwnego, traci szanse na wybór, udział we władzy. Żeby być wybieralnym, musi pleść trzy po trzy.

Spór o klimat to pikuś. Jednak sondaż wśród ludności Tuvalu – wyspiarskiego państwa, które za 70 lat znajdzie się pod wodą – wypadnie inaczej niż sondaż na Mazowszu. Więc kandydując na Tuvalu, można mówić prawdę o klimacie i te wybory wygrać. Tylko co nam z rządzenia wyspą, której wkrótce już nie będzie?

Unijny pomysł sprowadzający się do tego, żeby za naprawę klimatu zapłacili biedni, mimo że to bogaci najbardziej trują, pozwala głupcom odwołać się do woli ludu i wmówić ludziom, że z klimatem jest wszystko w porządku.

O przyszłości planety decydują ludzie, którzy przebywają większość czasu w klimatyzowanych wnętrzach. A w największą suszę i upały podlewają obficie trawniki i korzystają z prywatnych basenów. Trump nie pożyje dość długo, aby zobaczyć skutki swego lekceważenia walki z globalnym ociepleniem. Ale młodzież z Ostatniego Pokolenia już tak. Ci, którzy bezczelnie zaprzeczają zmianom klimatycznym, mają w nosie starców umierających na serce w wyniku afrykańskich upałów na południu Europy.

Zielony Ład zawiera głupstwa, regulacje szkodliwe – ale i słuszne oraz zbawienne. Obciążanie zwykłych gospodarstw domowych kosztami zanieczyszczeń powodowanych przez koncerny to absurd. Ale przeciwdziałanie wysychaniu gleby już nie. Można dziś rolnikom wmawiać, że dbałość o wilgotność gleby powoduje niepotrzebne wydatki – ale tylko do chwili, gdy wysuszona ziemia przestanie dawać jakiekolwiek plony.

W dzisiejszej Polsce ktoś, kto nie zgadza się z wylewaniem dziecka z kąpielą, czyli z potępieniem jakichkolwiek kroków chroniących środowisko pod ogólnym hasłem potępienia Zielonego Ładu, naraża się na powszechne potępienie.

I ja się narażam na potępienie, bo zamierzam debatować i współpracować z ruchem Ostatnie Pokolenie. Mam ten luksus myślenia niezależnie i debatowania, bo nie jestem politykiem, który musi klepać to, co większość, żeby się załapać na stołek.

Dyskurs antyekologiczny narzucili politycy skrajnej prawicy, nie tylko masom, ale i swoim politycznym przeciwnikom. Ci na górze intonują już wspólnie kłamliwą piosenkę o tym, że nie ma żadnych ekologów, są „ekoterroryści".

Ludzie nie są z natury głupi. Większość głupot powtarzają po politykach, propagandystach, nieuczciwych albo oszalałych dziennikarzach. Dyskurs ksenofobiczny, rasistowski został masom zaszczepiony przez środki masowego przekazu i polityków. Przy czym najpierw kłamstwa o cudzoziemcach głosili przedstawiciele skrajnej prawicy. A po nich zaczęli powtarzać wszyscy niemal politycy. Kłamali, żeby nie wypaść z obiegu.

Ludzie uwierzyli, że imigranci przenoszą choroby, jak głosił Jarosław Kaczyński. Ludzie globalnego Południa przebywający w Polsce są groźni i mają większą niż Polacy skłonność do popełniania przestępstw. A już szczególnie często i chętnie gwałcą. Mają skłonność do narzucania swojej religii, zwłaszcza wyznawcy islamu.

Kiedy okazało się, że większość obcych podejmuje pracę i że owych przybyszów jest stosunkowo niewiele, wzięto się za Ukraińców. Co ciekawe, zawetowana przez prezydenta Nawrockiego ustawa o pomocy Ukraińcom to ustawa autorstwa Prawa i Sprawiedliwości.

Diametralna zmiana stosunku do imigrantów i uchodźców wojennych z Ukrainy zaczęła się od Konfederacji, aby w końcu zarazić nawet Platformę. Postulat odebrania zasiłku dla dzieci Ukraińców, którzy nie pracują, pierwszy wysunął kandydat prezydencki PO Rafał Trzaskowski, a zrealizował jego kontrkandydat Nawrocki. Trzeba też przypomnieć, że Tusk „był na tak".

Atyimigrancka histeria i moda na ksenofobię objęła większość klasy politycznej.

Weto prezydenta i entuzjastyczne tego weta przyjęcie przez większość Polaków przekreśla wspaniałe gesty solidarności z Ukraińcami, jakie miały miejsce tuż po pełnoskalowej agresji Putina.

Upominając się o ukraińskie dzieci, którym odjęto od ust, broniąc praw i godności imigrantów z całego świata, narażam się nacjonalistycznie i egoistycznie nastawionej większości. Powiem więcej: dopóki tzw. masy nie przeproszą się z rozumem, nie wyzwolą się spod endeckiego zaczadzenia, nie chcę, by mnie popierały.

W końcu obok smutnych wiadomości jest jedna dobra. Sąd w Białymstoku uniewinnił działaczy, którzy pomagając uchodźcom błąkającym się i marznącym w lesie podlaskim, ratowali zdrowie i życie. W kraju, gdzie zlikwidowano prawo azylu, są jeszcze obrońcy praw człowieka.

Płyńmy razem pod prąd, a nie, jak zdechłe ryby, z prądem.

PIOTR IKONOWICZ

MÓŻDŻEK TYGODNIA


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Piotr Łukasz Juliusz Andrzejewski – adwokat, sędzia Trybunału Stanu, arogant, burak i chamidło. Ale nie Andrzejewski…

Robert Biedroń – eurodeputowany Nowej Lewicy, tchórz, który swoim chamskim wpisem w mediach społecznościowych obciążył nieznanego z imienia i nazwiska asystenta. Biedroń też nie… Również nie Kazimierz Piotr Staszewski, artysta, który nazwał Biedronia „kurwą jebaną" i zapowiedział, że „będzie wisiał".

Ani nawet nie Adam Jerzy Bielan, eurodeputowany pisowiec, który orzekł w Ameryce, że premier Tusk nie ma wstępu do Białego Domu, i powiedział w polskiej telewizji, że dawno temu wicepremier Sikorski, będąc pod wpływem „środków odurzających", „zaatakował" prezydenta Kaczyńskiego.

Oni wszyscy – Andrzejewski, Biedroń, Kazik i Bielan – świetnie nadają się na Móżdżki Tygodnia, ale ich i wszystkich innych przebił w ciągu ostatnich dni Waldemar Grzegorz Buda, pisowski poseł do Parlamentu Europejskiego. Za to, że w wyprodukowanej przez stację TVN audycji telewizyjnej „Kawa na ławę" bez cienia ironii i dystansu, za to z wazelinowym poślizgiem nazwał eurodeputowanego Bielana „skarbem" i „mistrzem".

Pomyślnego brukselskiego ślizgania się, chłopaki.

eprasa.pl b921f55bef

DUDA mniej niż zero

Piszemy scenariusz dla Prezydenta Redaktora



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Powiem brutalnie, a może i w sposób stawiający mnie w nie najlepszym świetle: spośród wszystkich newsów minionego tygodnia bardziej niż tragiczna śmierć w wypadku red. Katarzyny Stoparczyk wstrząsnęło mną, że oto świat polskiej publicystyki wzbogaci się o nowego redaktora.

Tak, tak, dobrze słyszycie. Były prezydent RP, ten sam, który przez 10 lat podpisywał ustawy z prędkością kasjerki skanującej bułki w Lidlu, wreszcie znalazł swoją prawdziwą drogę: zostanie dziennikarzem internetowego Kanału Zero.

Na emeryturze, a więc środków niezależnych, ZUS-ów ani składek od niego odprowadzać nie trzeba. Tania siła redaktorska.

Niestety – psychologiczna konieczność. Posada w ONZ? Zajęta. Fotel w NATO? Obsadzony. Złudzenia o „międzynarodowej fusze" rozwiały się szybciej niż konfetti na miesięcznicy. Wejść na piedestał – niełatwo, ale zejść z niego, nie patrzeć już we flesze i obiektywy i nie roztrzaskać się o własny alkoholizm – to może nawet większa sztuka. Cóż, pozostało chwycić za mikrofon i udawać redaktora.

Youtubowy Kanał Zero zapowiada 16 odcinków nowego formatu. Roboczy tytuł brzmi najpewniej: „Andrzej Duda – mniej niż Zero"…

Nieznana jest jeszcze dokładna formuła programu, ale jeśli weźmiemy pod uwagę ostatnie popisy Dudy – czyli rozdawanie razów na prawo i lewo – można się spodziewać prawdziwej uczty kabaretowej. Duda już wygłasza wyroki w tonie: Kaczyński? Może starcy nie powinni rządzić Polską. Zapraszałem go pięć lat, nie przyszedł. To nawet Święty Mikołaj jest bardziej punktualny. Ziobro? Chciał sterować sądami, a nawet windy w ministerstwie nie potrafił wezwać. Kurski? Robił telewizję, a wyszedł mu totalny propagandowy chłam. Tako rzecze obecnie Duda.

Zatem nawet przy skromnych możliwościach intelektualnych eksprezydenta możemy spodziewać się widowiska zabawniejszego niż Ucho Prezesa.

Spróbujmy zatem to sobie wyobrazić.

Pierwszy odcinek

Czołówka: obrazy z drona: Wawel, pałac prezydencki, krakowskie blokowisko z antenami satelitarnymi.

Głos lektora (poważny, jak w zwiastunie filmu sensacyjnego): „Andrzej Duda. Prezydent. Emeryt. Człowiek, który już nic nie może, ale bardzo chce. Przed państwem – Andrzej Duda, mniej niż Zero!"

Scena 1: Wejście

Duda wchodzi w garniturze, ale z przypiętą plakietką „Gość programu". Rozgląda się niepewnie, sam ustawia krzesło i mówi:

– Produkcja oszczędza. Cóż, przywykłem. W pałacu też nie było luksusów, czasem trzeba było nawet samemu podpisać ustawę.

Siada i zaczyna monolog:

– Witam państwa serdecznie. To ja, Andrzej Duda. Właśnie odkryłem, że życie na emeryturze jest trudniejsze niż kampania prezydencka w 2015 r. Wtedy przynajmniej ktoś mi mówił, co mam mówić.

Scena 2: Tyrada mściwości.

Duda prostuje się, patrzy w kamerę z wyraźną satysfakcją:

– Proszę państwa, nadszedł czas, że muszę sięgnąć do klasyki. Do książki Wiesława Górnickiego[1] „Teraz już można". Przyznam od razu: nigdy jej nie przeczytałem, bo się brzydziłem. No ale tytuł jest świetny. Teraz już można: powiedzieć, co się myśli. A ja, proszę państwa, jako prezydent musiałem milczeć, dusić to wszystko w sobie, uśmiechać się na bankietach, kiwać głową na odpustach. Dziś nie muszę. Dziś powiem.

Zacznę od pewnej damy. Powiedzmy tak: Małpa… przepraszam, oczywiście chciałem powiedzieć Marta. No, jednak było pewne odtrącenie. Brak odwzajemnienia gestu. Ja wyciągałem dłoń, ona chowała do torebki. Ja się uśmiechałem, ona patrzyła w bok. Powiedzmy sobie szczerze: czułem się zawiedziony, przybity, zlekceważony.

A w domu? Żona… no cóż, zachowała się nie do końca lojalnie. Ja jej zaimponowałem mieszkanie w pałacu… Mało która kobieta w Polsce może to powiedzieć, prawda? A ona w przewlekłym fochu. Przez rok się nie wprowadziła! I tylko przytomność umysłu oraz perswazja naszego prezydenckiego kapelana, księdza Zbigniewa Krasa, sprawiły, że nie doszło do rozwodu. Proszę państwa, wyobrażacie sobie, co to byłby za skandal? Prezydent katolik w separacji, jeszcze przed końcem kadencji!

Przez rok znosiłem prawdziwą męską samotność. A wiecie państwo, co to może oznaczać? Człowiek siedzi wieczorami sam w pałacu, gada z ochroną, podjada krówki z sekretariatu… i zaczyna się zastanawiać, czy naprawdę jest prezydentem, czy może tylko portierem w większym hotelu, tym obok pałacu[2].

Albo ten Marian… jak mu tam… yhm. Pan profesor od jointów. Proszę państwa, obcowanie z takim człowiekiem twarzą w twarz to było doświadczenie graniczne. Twarz, która wyglądała gorzej niż niejedna pamiątka po psie na podwórku. Powiedzmy to otwarcie. A włosy? Do fryzjera by poszedł, bo one chyba nigdy nie widziały szamponu. Ja, prezydent Rzeczypospolitej, musiałem w takich chwilach zaciskać zęby, patrzeć prosto w tę gębę i nawet nieszczerze potakiwać. To było tak, jakby ktoś mnie hipnotyzował zleżałą peruką, zdjętą z manekina w piwnicy.

Albo weźmy takiego towarzysza Suskiego. Jałop z Grójca, „faszyn from Raszyn", a umysłowość jak po maturze z geografii poprawianej w technikum teatralnym. Prawda jest taka, że nawet gdy mówił „dzień dobry", to człowiek się zastanawiał, czy aby na pewno ma dzień, i czy na pewno jest dobry. Ale, przyznaję, może jego zostawię w spokoju. Bo w czerwcu przeszedł zawał, a ja nie chcę, żeby mówiono, że Duda dobił Suskiego.

Ileż ja się nacierpiałem, proszę państwa, z tymi ludźmi. To była gehenna. Człowiek siadał przy stole, a obok mnie zasępił się Zbigniew Bogucki, naprzeciwko spojrzał z dystansem Paweł Szefernaker, a za plecami już czaił się Jarosław Dębowski. I weź tu prowadź poważne państwo! Ja, człowiek wrażliwy, artystyczny, prawnik z Krakowa… Musiałem udawać, że to jest poważne towarzystwo, a to był teatrzyk na poziomie kółka recytatorskiego w Pcimiu.

Scena 3: Kolejni „przyjaciele"

Duda prostuje się w fotelu, patrzy w kamerę, jakby miał zaraz ujawnić państwową tajemnicę.

– Ale to jeszcze nic, proszę państwa. Byli i inni. Taki Gowin na przykład. Wiecznie zbolały intelektualista ze „Znaku" z miną, jakby mu ktoś po kryjomu zamienił Chopina na Zenka Martyniuka. Siedział na posiedzeniach rady gabinetowej i udawał, że rozumie, co się dzieje. A prawda była taka, że zrozumiał tylko własne konferencje prasowe. Ja, prezydent, musiałem mu przytakiwać.

Albo pani Szydło. Tak, Beata. Wdzięczna, owszem, ale tylko do momentu, kiedy sprawa dotyczyła limuzyny. Potem, proszę państwa, to był dzik, to była szarża. Ja mówiłem: „Pani premier, proszę się uspokoić", a ona już gnała przez Krakowskie Przedmieście jak husaria pod Wiedniem. I co? I na końcu jeszcze obrażona, że ja jej nie bronię. A jak miałem bronić, skoro sam się bałem, że wpadnie do pałacu i powie: „Panie prezydencie, teraz ja tu rządzę". No wyobrażacie sobie? Baba prezydentem… Dajcie spokój. A kto by wtedy był pierwszą damą? Ten jej chłop, co chodzi w gumofilcach i ogląda telewizję na całej głośności? To byłby dopiero dramat dla Polski.

I pamiętam jeszcze Morawieckiego. Ach, Mateusz… czarujący bankier, wielki wizjoner. Ale jak się go słuchało, to człowiek się zastanawiał, czy on mówi do mnie, czy do inwestorów z Goldman Sachs. Piękne metafory, gładkie zdania, a ja siedziałem i udawałem, że rozumiem, chociaż połowa brzmiała jak reklama kredytu hipotecznego.

No i oczywiście Antoni Macierewicz. Proszę państwa, tego się nie da opisać. To trzeba przeżyć. Spotkanie z Antonim to jak lot w tunelu aerodynamicznym. Człowiek ma wrażenie, że wieje mu w twarz, a i tak nie rozumie, o co chodzi. Każde zdanie zaczynało się od „Smoleńsk", kończyło na „spisek" i w środku było jeszcze coś o ruskim agencie. A ja, głowa państwa, kiwałem głową państwa jak uczeń w ławce, żeby się nie czepiał.

Duda wzdycha, teatralnie rozkłada ręce i patrzy w obiektyw:

– I tak to wyglądało, proszę państwa. To były lata ciężkiej próby, lata, w których musiałem być nie tylko prezydentem, ale i psychologiem, terapeutą, a czasem nawet treserem cyrkowym. A dziś, kiedy siedzę tu, w Kanale Zero, mogę wreszcie powiedzieć: teraz już można.

Scena 4: Książka życia

Duda pochyla się nad stołem, z dumą wyciąga spod blatu trzy egzemplarze „To ja – Andrzej Duda". Ustawia je starannie przed sobą niczym relikwie.

– Proszę państwa, oto ona. Moja książka. Owoc dziesięciu lat milczenia i czterech tygodni pisania. Powiem wprost: dzieło epokowe.

Podnosi pierwszy tom.

– Wersja podstawowa, miękka okładka, tylko 99 zł. Idealna do czytania w tramwaju, do podłożenia pod krzywe krzesło albo do podarcia, gdy ktoś wspomni Tuska.

Pokazuje drugi egzemplarz.

– Wersja twarda, elegancka, dla ludzi poważnych – około 120 zł na rynku wtórnym. Swietna na półkę, nawet jeśli nigdy jej nie otworzycie. A jeśli otworzycie, to tym bardziej nie będziecie żałować.

Wyciąga trzeci tom, większy, w ozdobnym pudełku.

– A to, proszę państwa, edycja premium. 159 zł. Złocenia, pudełko, autograf. Dla prawdziwych patriotów, którzy chcą poczuć, że inwestują w historię. I to nie byle jaką historię: moją.

Duda kładzie wszystkie egzemplarze równo, jak towar w telezakupach.

– Dlaczego warto? Bo tu, w tych stronach, jest więcej, niż dotychczas powiedziałem. Moje przemyślenia, moje emocje, moje anegdoty. Cała prawda o tym, jak to było być mną. A kto nie przeczyta, ten będzie wiedział o mnie tyle, co ja o konstytucji (czyli niewiele).

Podnosi książkę i patrzy prosto w kamerę.

– Pamiętajcie: kupując moją książkę, kupujecie kawałek historii Polski.

Scena 5: Telefony od widzów

Na ekranie pojawia się napis: „Na żywo – linia otwarta z Prezydentem Redaktorem". Duda poprawia marynarkę, uśmiecha się nieco nerwowo i mówi:

– A teraz, proszę państwa, czas na telefony od widzów. Każdy może zadzwonić, zadać pytanie, a ja odpowiem, jak zawsze, z całą prezydencką powagą.

Telefon 1:

– Panie Andrzeju, ja kupiłem wersję premium w pudełku i chciałem zapytać, czy to pudełko można wykorzystać jako szkatułkę na biżuterię?

Duda:

– Ależ oczywiście. Ja sam przechowuję w nim ordery, których nikt mi nie chciał dać. Idealnie pasują.

Telefon 2:

– Panie prezydencie, skoro pan sprzedaje książkę na swojej stronie, to może by pan otworzył własną księgarnię internetową? Albo od razu start-up technologiczny „DudaBook"?

Duda:

– Doskonały pomysł! Proszę państwa, jeśli Mark Zuckerberg może mieć Facebooka, to ja mogę mieć Dudabooka. Będzie się tam logowało przez numer PESEL i modlitwę do św. Jana Pawła II.

Telefon 3:

– Halo, panie prezydencie, ja mam pytanie… Czy jak kupię dwie książki, to dostanę trzecią gratis?

Duda (z dumą):

– Nie, proszę pana. Dostanie pan… trzecią w tej samej cenie. To się nazywa wolny rynek.

Telefon 4:

– Panie Andrzeju, ja kupiłem książkę i zauważyłem, że nie ma tam obrazków do kolorowania. Czy to będzie w drugiej części?

Duda:

– Oczywiście, planujemy specjalne wydanie dla dzieci. Kolorowanka „Prezydent w pałacu". Do wyboru kredki patriotyczne: biała i czerwona.

Duda patrzy w kamerę, zadowolony.

– Widzicie państwo, jakie zainteresowanie? Polska czekała na tę książkę, jak ja czekałem na telefon od Trumpa. Tyle że tutaj, w przeciwieństwie do Trumpa, państwo naprawdę dzwonicie.

Scena 6: Pointa

Duda poprawia krawat, uśmiecha się do kamery nieco zbyt długo i mówi:

– Na dziś to wszystko. Pamiętajcie: nie trzeba być wielkim, żeby być prezydentem. Ale trzeba być prezydentem, żeby po latach robić program w internecie. Do zobaczenia w kolejnym odcinku!

Napisy końcowe:

„Realizacja: Andrzej Duda (sam się realizuje).

Producent: Kanał Zero – nazwa zobowiązuje.

Scenariusz: życie, które mnie przeczołgało.

Gość specjalny: Andrzej Duda (bo innych nie zaprosił).

Konsultacja historyczna: Wikipedia (wersja skrócona).

Specjalne podziękowania: Donald Trump: za pięć minut small talku i czapeczkę MAGA w rozmiarze dziecięcym".

W tle gra instrumentalna wersja hitu „Na swoim weselu w hotelu będę pijana" zespołu Daj To Głośniej – raz po raz przerywana suchym komunikatem lektora: „Uwaga, program zawiera lokowanie produktu: książka „To ja – Andrzej Duda" dostępna na stronie prezydenta".

• • •

Zatem formułę programu mamy już gotową, tylko jeszcze niewciśniętą w ramówkę: „Andrzej Duda kontra reszta świata". Choć uczciwie mówiąc – to raczej „Andrzej Duda kontra sam Andrzej Duda", bo reszta świata ma ciekawsze rzeczy do roboty niż siedzenie w Kanale Zero. I oto mamy niezależność dziennikarską w wersji de luxe: zero gości, zero trudnych pytań, zero ryzyka, ale za to mnóstwo osobistych żali i pretensji. A w tytule – niemal samo Zero, jak i w treści.

ROBERT JARUGA

1. Wiesław Górnicki – dziennikarz, publicysta, pisarz i dyplomata. Doradca gen. Wojciecha Jaruzelskiego, jeden z jego najbliższych współpracowników. Nasz redakcyjny kolega.

2. Hotel Bristol w Warszawie – jeden z najbardziej luksusowych i najsłynniejszych hoteli w Polsce. Otwarty w 1901 r. przy Krakowskim Przedmieściu, tuż obok pałacu prezydenckiego.

eprasa.pl b921f55bef

Transnarodowa miłość

Nauki z Michaliny i Dawida

Romans Michaliny Manios i Dawida Szóstaka to niezła lekcja życia i moralności dla wszystkich homofobów i innych „-fobów”, a także dla antyfaszystów. Bo tu każdy może być zaskoczony i czegoś się dowiedzieć. Każdy się zdrowo zdziwił i każdy miał okazję coś pożytecznego ze swoim zdziwieniem zrobić. A czy zrobił?

Osób dramatu przedstawiać nie trzeba. Ale przedstawię mimo to, bo pamięć ludzka na pstrym koniu jeździ. Otóż więc Michalina, odznaczając się wielką urodą, przed laty była finalistką pierwszej edycji popularnego programu TVN Top Model, a potem występowała w The Voice of Poland. Jest interesującą osobą – modelką, psycholożką, a ogólnie trochę taką celebrytką. Jej sławę z pewnością wzmocniła ta sensacyjna okoliczność – ujawniona przez nią już w czasie nagrywania Top Model – że urodziła się z biologicznymi cechami obu płci, wychowywała się jako chłopiec, a obecnie jest kobietą. Zawsze gdy osoba transpłciowa albo interpłciowa zjawia się na scenie, budzi to zainteresowanie i sensację. I nie ma w tym nic nagannego, bo nie każda ekscytacja jest w podtekście opresyjna i wykluczająca, a wymarzona „zwyczajność” potrzebuje dużo czasu, aby nadejść i się utrwalić. Natomiast Dawid jest narodowcem, do niedawna działaczem Ruchu Narodowego Krzysztofa Bosaka, czyli partii jawnie i skrajnie homofobicznej. Gdy Michalina napisała publicznie o ich związku, musiał się z Konfederacji (której częścią jest Ruch Narodowy) wypisać.

No, masz babo placek! Dysonans poznawczy na całego. Jak osoba transpłciowa mogła zechcieć narodowca? Jak narodowiec mógł tak jawnie sprzeniewierzyć się „ideałom” swojej formacji? O co tu w ogóle chodzi? Chciałoby się wierzyć, że niemądry narodowiec zakochał się, skutkiem czego przejrzał na oczy i zrozumiał, że jego dotychczasowe poglądy były skrajnie niebezpieczne i krzywdzące dla osób takich jak wybranka jego serca. A może tylko zrobił sobie mały wyjątek dla samego siebie i nadal jest narodowcem? To również jest możliwe, bo przecież nie odszedł dobrowolnie, lecz dopiero po tym, jak wybuchła w Konfederacji istna panika moralna na wieść o erotyczno-ideologicznej „zdradzie” działacza. Poza tym Dawid odszedł z Konfederacji, lecz nie ze Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, który zapewne mniej więcej tyle ma wspólnego z ideałami pokoju, tolerancji, równości i demokracji, co sam NSZ z przyjaźnią polsko-żydowską. Na szczęście nie ma już NSZ, a żołnierzem tej formacji pan Dawid jest już tylko w snach.

Lekcja z tego osobliwego i w gruncie rzeczy bardzo sympatycznego zdarzenia miłosnego jest taka, że serce nie sługa. Jak się zakochasz, to nie ma rady. Nikogo do miłości zmusić się nie da, lecz z głowy jej wybić również niepodobna. Musi sama przejść. Albo zmienić się w poważny związek. Niby to taka prosta nauka, lecz to tylko pozór. Bo w tle jest jeszcze inna prawda, z którą ta prawda o sercu chodzi, trzymając się za ręce. Streszcza się ona w powiedzeniu, że w życiu to różnie bywa. I to jest coś, o czym nawet moraliści, zbożni i bezbożni, często zapominają, idąc na lep uproszczeń, łatwej jednostronności i moralnego radykalizmu.

Tak, życie jest o wiele bardziej złożone i barwne, niż może się wydawać komuś życiowo niedoświadczonemu, kto wypełnia ten brak nazbyt prostymi pojęciami i wyobrażeniami. W życiu są różne układy, różne kompromisy i różne niekonsekwencje. Czasami trzeba być trochę w zgodzie z sobą, a trochę nie, bo tego wymaga od nas sytuacja. Ciągnie nas w różne strony, pewne rzeczy nie są dla nas jednoznaczne, inne kuszą, a jeszcze inne wiążą i nakładają na nas jakiś ciężary i obowiązki, których wcale nie chcemy. W rodzinie, w miłości, w pracy, pośród przyjaciół – wszędzie niekonsekwencje i dwuznaczności. Są reguły, lecz są też wyjątki. Są rzeczy złe, lecz mające w sobie ziarno dobra, i rzeczy dobre, aczkolwiek skażone jakimś złem. Jasno i prosto jest może na papierze, a w rzeczywistości wszystko się komplikuje i mieni różnymi barwami. Z daleka wygląda tak, z bliska inaczej, i to jeszcze zależnie od tego, pod jakim kątem się patrzy i w jakim świetle.

Właśnie dlatego, że życie jest skomplikowane, a reguły i normy z natury rzeczy proste, musimy być ostrożni w ich stosowaniu i w ocenianiu innych za pomocą wygodnych, lecz niedokładnych miar. Wygląda na to, że Michalina i Dawid mają jakieś „swoje powody” i swoje racje, które tłumaczą to, że ich tak rozbieżne drogi jednak się przecięły i zeszły. Na jak długo? Tego nie wiemy i nie nasza to sprawa. Ale i tak mamy naukę. Michalina urodziła się niejednoznaczna, nieoczywista. I teraz też przydarzyła się jej nieoczywistość. Może to ją właśnie pociąga – paradoks? Jej wybranek zaś zapisał się tam, gdzie

uwodzą nas prostotą i jednoznacznością: albo Polak i patriota, albo cwel i śmieć. Albo z nami, albo wróg. A tymczasem okazało się, że świat może być piękniejszy, gdy jest w nim nieoczywistość, gdy są w nim, obok czerni i bieli, szarości, a przede wszystkim wszystkie barwy tęczy.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nie muszę znać tajemnicy Michaliny i Dawida. Może nawet jej nie ma i wszystko jest tu banalne, albowiem „tak wyszło”. A może tajemnica jest, i jest mroczna. A może jest, i jest piękna? Wolę pozostać w nieświadomości, bo dzięki temu lepiej rozumiem, że może być z tym różnie. A właśnie to, że może być różnie, stanowi sedno całej tej budującej i ładnej przecież historii. Jeśli nas czytają, to ja im pożyczę po żydowsku: Mazal tow!

JAN HARTMAN

Czas pokazał, że w 1945 r. mieliśmy dziejowe szczęście.

GADMAN

Batem

„Jedna tylko atomowa i wrócimy już do Lwowa; jeszcze jedna bardzo silna i wrócimy też do Wilna” – tak podśpiewywaliśmy podczas harcerskich ognisk kończących rajdy krajoznawcze na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej.

Była pierwsza połowa lat 70. XX w. Oficjalnie harcerstwo miało „służyć socjalistycznej Polsce”, ale wychowywało nas na patriotów, nacjonalistów nawet. W kontrze do oficjalnej miłości do bratnich narodów ZSRR oraz wspólnoty socjalistycznej.

W przerwach wokalnych opowiadaliśmy kawały o tym jak Polak, Rusek, Niemiec i Amerykanin spotkali się lub kogoś.

Finał zawsze był podobny. Polak Niemca oszwabił, Ruska wydymał, a zdumiony Amerykanin padał do polskich nóżek z podziwu.

Śpiewaliśmy – choć żaden z nas Lwowa i Wilna nigdy nie widział. Rodzice i krewni nasi też. A ci nieliczni kresowiacy, którzy po wojnie osiedli w Częstochowie, przezornie nie wspominali publicznie o swych korzeniach.

Ich szeptane historie tliły się w ogniskach domowych.

Dziś kraj utraconych Kresów znów wraca do polskiej mitologii.

Zwykle w wersji okrojonej do niezapłaconych rachunków krzywd. Do tragedii polskiej społeczności mordowanej przez ukraińskich sąsiadów na Wołyniu. Krewnych utraconych, gdzieś tam w dołach pochowanych, ale niepogrzebanych jak trzeba, należycie.

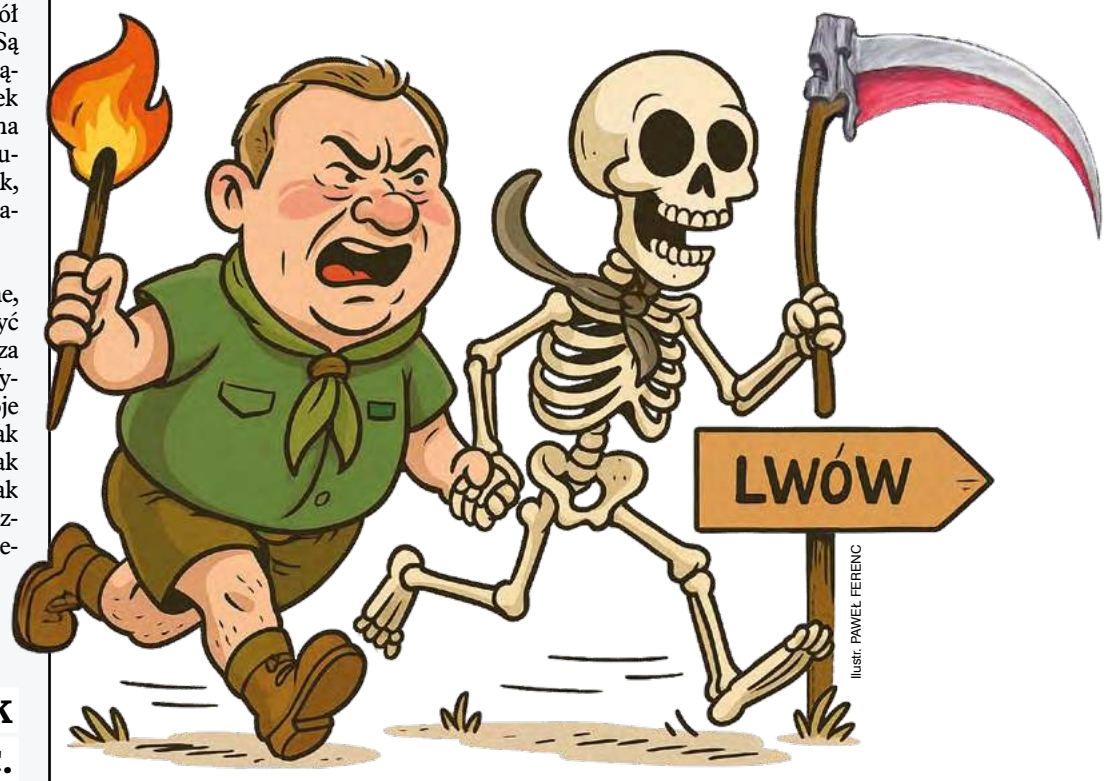
Stare rany znów ropieją, bo dzisiejsi polscy politycy swe wyborcze szanse w ich rozdrapywaniu dostrzegli. Dziś na uroczystościach ku pamięci wołyńskich mordów więcej jest krajowych polityków i influencerów niż prawdziwych reprezentantów rodzin pomordowanych. Dziś wzorcowy polski patriota powinien mieć kogoś tam zamordowanego, inaczej ma obniżoną wartość.

Nic dziwnego, że liczba ekshumowanych w zasobach rodzinnych pamięci zamordowanych na Wołyniu krewnych rośnie jak na drożdżach.

Przypomina to mnożące się w latach 90. opowieści o utraconych po wojnie dworkach i folwarkach, o wypasionych kamienicach spalonych przez okupantów. Ech, gdyby je wszystkie na poważnie zliczyć, to okazałoby się, że szlachta w Polsce liczebnie dominowała, podobnie jak w przedwojennych miastach kamienicznicy z polskimi genami.

Kres Kresów

„Mit Kresów już nie służy Polsce na Wschodzie. Pora na nową politykę” – piszą w „Rzeczpospolitej” Marta Panas-Goworska i Andrzej Goworski. Przekonują, że „mamy dobre karty, by kresowe sentymenty zastąpić na Wschodzie nową, pragmatyczną polityką”.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Słusznie przypominają, że Kresy w I Rzeczpospolitej były terminem geograficznym, wyznaczały pogranicze z Chanatem Krymskim i Imperium Osmańskim. Dopiero w drugiej połowie XIX w. napisany przez Wincentego Pola poemat „Mohort. Rapsod rycerski z podania” przemienił kresy w legendę polskiego męstwa i strażnicę cywilizacji przed stepowymi najazdami. Choć nie stworzył on obrazu panującej tam pokojowej idylli.

„Bo trzeba wiedzieć, choć nie było wojny,
Przecież na kresach rzadki dzień spokojny.
Humańskiej rzezi pamięć była świeża,
A bojaźń dżumy trzymała żołnierza
I dniem i nocą na czacie granicznej (...)
Tam na dwór jakiś Tatary napadli
Na podgraniczu, i cerkiew złupili,
To znów Kozacy tabun nam ukradli,
Czeladź uwiedli, lub wioskę spalili,
Czasem i łotry od multańskiéj dziczy
Wtargnęli, siłą dostawszy języka,
Czasem też nasi tak na ochotnika
Ruszyli sobie na odwet ku Siczy”.

PLURALIS MAIESTATIS

Płyń lub giń

Zakazać odblaskowych kamizelek!

Zaczynam dochodzić do parszywego wniosku, że gdyby połowa populacji – ot tak, z nagła – popełniła masowe samobójstwo, to drugiej połowie żyłoby się lepiej. Przez kilka dni!

Ludzie doprowadzaniem do nieszczęścia innych ludzi osładzają sobie czekanie na własną nieuchronną śmierć. W dodatku nie mają na nią – tj. na śmierć – pomysłu. Idą na żywioł. Nie czekajcie! Odjebcie się już dzisiaj – i koniecznie niech was skremują w zielonych, wszechobecnych, odblaskowych kamizelkach.

Mieszkam przy parku, więc do szkolnych wycieczek zapakowanych w takie kamizelki, jak bekon w folię, już się przyzwyczaiłam. Z trudem przyzwyczajam się do podobnie ubranych psów. Mam gospodarza domu, który w podobnej – zielonej, odblaskowej kamizelce – popierdala na swoim grzmiącym motorze. Zielone Kamizelki od Bąkiewicza bronią granic – wiemy to, bo na plecach mają napisane „Ruch Obrony Granic”. Zielone Kamizelki z chuj wie jakim napisem polują na pedofilów. Zielone Kamizelki z napisem „Interwencje” na grzbiecie zapierdalają ludziom psy. A teraz jeszcze gówniarzeria wielkości siedzącego psa popierdala po ulicach i filmuje swoje koleżanki, którym przydałyby się dłuższe spódnice. Na zielonych, odblaskowych kamizelkach napis „Szon Patrol”. I kolejna burda w internecie.

Tak sobie myślę, może niech z tej burdy będzie coś dobrego, co? Może po prostu – bo ja wiem, ustawowy zakaz sprzedaży zielonych, odblaskowych kamizelek? O wiele proszę? Trudniej będzie sformować patrol, jak patrolującym pozostaną kamizelki wydziergane na szydełku.

Media głównonurtowe, bazując na zdjęciu trzech chłopaków – w tym jednego właśnie wielkości siedzącego psa – próbowały przekręcić narrację tak, żeby do jednego wora wrzucić i Ruch Obrony Granic, i prawo szariatu. Przekonywano, że gdyby się Bąkiewicz nie rozbisurmanił ze swoimi posterunkami i kontrolami, to nie byłoby szczeniarni, która lata i próbuje cenzurować goliznę koleżanek. Nieomal w tym samym czasie zaczął pojawiać się przekaz, że oto dzieciarnia zamienia się w strażników szariatu. Cóż, lepiej byłoby napomknąć o ganiających w czasach generała Franco Hiszpanach, którzy na ulicach zatrzymywali panny w miniówach i centymetrem mierzyli, czy zakrywają, ile trzeba… A tak na narrację Bąkiewicza o groźnych islamskich imigrantach, którzy obstawią Polskę meczetami, nałożyła się narracja o groźnych islamistach, którzy są skłonni upierdolić komuś łeb za rozpuszczone włosy, goliznę czy zbyt długie paznokcie. Nie wspomnę już o tym, że najczęściej przywoływano nawet nie Afganistan, nawet nie afrykańskie państwa islamskie – a Iran. I znowu mi się śmiać chciało, bo kilka tygodni temu polska gawiedź chlipała nad nieszczęściem Teheranu bombardowanego przez izraelski Tzahal.

Do tego tryliony wypowiedzi psychologów, mamusiek, celebrytów, aktywistów! A ja sobie myślę tak – jasne, że gówniarz wielkości siedzącego psa w zielonej, odblaskowej kamizelce może irytować. Nie mówię, że nie może. W dodatku gówniarz zadowolony, bo zaręczam, że pies w takiej kamizelce zawsze jest niekontent. Ten napis na kamizelkach – „Szon Patrol”… Mnie akurat czka nerwowo na jego drugi człon czyli Patrol. Człon pierwszy czyli Szon, to mi się tylko z hipokryzją kojarzy. Tak samo jak pisanie swojskiej „kurwy” w formie „k…”. Wszystko to zresztą jest spektaklem hipokryzji – przemoc rówieśnicza jest,

eprasa.pl b921f55bef

i widelcem

W czasach II Rzeczypospolitej Kresy stały się narzędziem państwowej unifikacji. Osadnictwo wojskowe na Wołyniu miało wzmocnić „żywioł polski", ale jedynie pogłębiło napięcia z lokalnymi społecznościami. Warto w przyszłości podyskutować, na ile ukraińskie mordy były też efektem tamtej polityki.

Po 1945 r. legenda kresowego „raju utraconego" łagodziła ból repatriantów. I przy okazji legitymizowała nowe zachodnie granice.

W III Rzeczpospolitej można było „wrócić do Lwowa", do Wilna, Grodna, Dyneburga, Bielc bez konieczności wiz. Jechać jak do wspólnej Europy. Posłuchać tam wspomnień ostatnich polskich kresowian. O tym, jak w szkolnych ławkach spotykały się języki i światy. Polacy, Ukraińcy, Rosjanie, Żydzi, Łotysze, Białorusini, Niemcy, Mołdawianie. Ale każdy ich dom był miejscem ich tożsamości. Dziś tej wielokulturowości nie ma. I nie będzie, bo państwa naszych sąsiadów tworzą swe tożsamości oparte na kulturze jednego, dominującego narodu. Z większą lub mniejszą tolerancją dla kultur mniejszości narodowych. Bo tego wymaga Unia Europejska. Dziś polska młodzież na wycieczkach odkrywa tam szczątki dawnej wielokulturowości i polskości. Ale „czy te treści są jeszcze jej dziedzictwem, czy raczej pamiątką po złudzeniach?" – pytają autorzy.

Czas na Pogranicze?

W Polsce publiczne debaty o Kresach nadal toczą się na grobach. Pomordowanych krewnych i pogrzebanych tam świadectw polskiej kultury.

Polscy polityczni konserwatyści postrzegają Kresy jako teren rozkwitu polskiej cywilizacji. To

Polacy przynieśli tam wysoką kulturę. Nauczyli miejscowych jeść widelcem. Polska lewica przypomina polski, iście kolonialny, wyzysk tamtych Kresów. Bat ekonomiczny i kulturalny polskich – i spolszczonych – stanów panujących.

Po aptekarsku rzec można, że nasi przodkowie zanieśli tam i bat, i widelec. Co możemy zaoferować teraz?

Autorzy manifestu zamieszczonego w „Rzeczpospolitej" proponują, „byśmy dziś postawili na operację »Pogranicze« – projekt, w którym nie chodzi już o bronienie grobów, lecz o budowę żywych sojuszy". Proponują finansowanie wspólnych think tanków, długofalowych projektów, polskich stypendiów. Zerwanie z historycznym sentymentalizmem na rzecz pragmatyzmu strategicznych inwestycji i stref nowoczesnych wpływów. Dodają, słusznie zresztą, że „IPN nie zbiednieje, jeśli część środków przesuniemy z jego portfela na te cele".

Ciekawych programu „Pogranicze" odsyłam do „Rzeczpospolitej". Nie przypadają mi do gustu wszystkie proponowane tam projekty. Ale plan tworzenia stref wpływów zamiast narcystycznego jątrzenia i zachęt do tańca na trumnach, do powielania „pornografii pomników", jest słuszny.

Szanujmy partnerów

Byłem posłem Sejmu RP przez trzy kadencje. Zajmowałem się „dyplomacją parlamentarną", pracowałem w sejmowej Komisji Łączności za Granicą. Byłem, i znów jestem, członkiem Rady Programowej TVP Polonia. Współpracowałem z Polakami mieszkającymi za granicami naszego państwa. Pomagałem nieco w tworzeniu polityki sąsiedztwa Unii Europejskiej zwanej Partnerstwem Wschodnim w 2009 r.

Niestety, zawsze słabością tamtego Partnerstwa, podobnie jak naszej współpracy z Polakami mieszkającymi w państwach byłego ZSRR, był unijny paternalizm i nasz polonocentryzm.

Partnerstwo Wschodnie miało być mostem do Wuniowstąpienia dla Armenii, Azerbejdżanu, Białorusi, Gruzji, Mołdawii i Ukrainy. Dziś Partnerstwo jest politycznie martwe. Azerbejdżan, Białoruś do Unii Europejskiej nie chcą. Armenia i Gruzja szans obecnie nie mają. Ukraina toczy wojnę o swoje miejsce w politycznym i gospodarczym świecie. Szanse ma jedynie Mołdawia, bo jest w tym gronie najmniejsza i najbiedniejsza. Przyjęcie jej nie spowoduje większych kosztów. A będzie dowodem, że Unia Europejska nadal rozszerza się, czyli rozwija.

W polskiej mitologii i aktualnej polityce historycznej utrata Kresów była dziejową katastrofą. Efektem „jałtańskiej" zdrady obcych nam mocarstw.

Czas pokazał, że mieliśmy dziejowe szczęście. Przesunięcie Polski na zachód w 1945 r. korzystnie przesunęło nas politycznie i gospodarczo w stronę zachodniej Europy. Dało nam lata pokoju, rozwoju nawet.

Dziś „obrońców kresowych stanic" na Kresach już nie ma. Tam, gdzie przodkowie Polaków krzewili cywilizację „bata i widelca", pozostały polskie cmentarze. Przodków groby. Zamki, kościoły, kamienice. Często zrujnowane. Mieszkający tam Polacy są dziś obywatelami swych państw, a nie rycerskimi Mohortami. Państwo polskie nie przyłączy zachodniej Ukrainy, przygranicznej Białorusi, obwodu Kaliningradzkiego, Wilna, Multanów. Czasy „bata i widelca" to czas przeszły dokonany.

Jeśli polscy patrioci chcą, by ślady polskiego widelca pozostały na Kresach, to muszą współdziałać z sąsiedzkimi narodami. Po partnersku. Nie można domagać się zachowania tam polskich cmentarzy, kościołów, pomników – i jednocześnie burzyć cmentarzy, kościołów, pomników sąsiadów.

Wrocław może dziś być miastem polskiej, niemieckiej, czeskiej i żydowskiej kultury, bo Polacy i nasi sąsiedzi uznali go za wspólne dziedzictwo.

Czy dzisiejsze miasta dawnych polskich Kresów kiedyś uczynią podobnie?

PIOTR GADZINOWSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

Media donoszą o „nowej metodzie oszustów". 54-letni mieszkaniec gminy Kamieniec Ząbkowicki zapłacił 200 zł za przesyłkę za pobraniem, w której zamiast towaru znalazł kamień. Problem w tym, że nikt z domowników paczki z kamieniem nie zamawiał. Łza mi się w oku kręci, gdy słyszę o tej „nowej metodzie". Przecież to klasyka. Stara jak Allegro, które w swoich pionierskich czasach słynęło z wysyłania cegieł w paczkach. Skoro dziś ludzie biorą tę staroć za rewolucyjną nowość, to znaczy, że historia zatoczyła koło. A ja? Ja po prostu mam za dobrą pamięć jak na swój wiek.

„Promowanie alkoholu i pijaństwa nie jest niczym dobrym" – oznajmiła ministra edukacji Barbara Nowacka (co akurat bardzo dobrze wie pewien kandydat na prezydenta Janusz Palikot). Ale tym razem nie chodziło o Palikota, lecz o rozpoczęcie roku szkolnego w Starachowicach, gdzie dziewczynki na akademii zaśpiewały: „W Dubaju w hotelu, na swoim weselu / Będę pijana, będę pijana / W głowie mi się zakręciło, hej – zabawa trwa / Od Warszawy po Abu Dabi / Tak się kurwa Polska bawi". Ministra powiedziała z naciskiem, że kurator świętokrzyski prowadzi „kontrolę doraźną". Czekamy więc na rezultaty tej doraźności… „W Dubaju w hotelu, na swoim weselu…"

Tatrzański Park Narodowy ostrzega turystów przed oszustami grasującymi przy Morskim Oku. Ubrani w żółte kamizelki z logo TPN, oferują bilety parkingowe po 100 zł na rzekome miejsca „po słowackiej stronie", tłumacząc, że na polski parking już brak miejsc. Klienci dostają elegancką kartkę A4 z logiem TPN, kodem QR i instrukcjami – wszystko wygląda jak oficjalny dokument. Problem w tym, że Park nie wyjaśnia, jak odróżnić parkingowego prawdziwego od złodzieja. A to niełatwe, bo sama oficjalna opłata za parking pod Tatrami – również 100 zł – jest złodziejstwem w biały dzień. Różnica jest tylko taka, że jedni kasują do kieszeni, a drudzy do kasy TPN.

Jaja biją na alarm. Tak w każdym razie twierdzi KFHDiPJ, czyli – jak łatwo rozszyfrować – Krajowa Federacja Hodowców Drobiu i Producentów Jaj. Prezes tych jaj, Paweł Podstawka, martwi się, że polskie jaja przegrywają z ukraińskimi na unijnych półkach. Wytyka też hipokryzję wielkim sieciom handlowym: od polskich producentów żądają restrykcyjnych norm, a jednocześnie sprowadzają tańsze jaja zza wschodniej granicy! Z hodowli klatkowych i z dodatkiem metod dawno w UE zakazanych! Na potwierdzenie: francuskie władze znalazły antybiotyki w jajach z Ukrainy.

Katowice znalazły sposób na kryzys mieszkaniowy. 30-krotnie podniosły podatek od niesprzedanych mieszkań. Za metr pustki deweloper zapłaci teraz 34 zł (poprzednio 1,19). Kraków już ostrzy sobie zęby na własne 70 tys. pustostanów. Deweloperzy protestują, twierdząc, że to nie spekulacja, tylko „chwilowy brak chętnych". Inaczej mówiąc: mieszkania stoją puste, bo klienci mają tupet nie mieć pieniędzy. Urzędnicy odpowiadają: skoro lokal nie ma lokatora, niech chociaż zapłaci czynsz do kasy miasta. Polski paradoks w skrócie: jedni nie mają gdzie mieszkać, drudzy mają mieszkania, ale nie ma kto w nich mieszkać.

Pięciu mężczyzn w wieku 17–39 lat postanowiło wziąć sprawiedliwość w swoje ręce. Podejrzewali 44-latka o kradzież motocykla, więc urządzili mu „proces polowy": bili, podpalili mu ubranie, grozili sekatorem, przypalali maczetą, zmuszali do upokarzających zachowań, a na koniec wrzucili do rowu. Całość nagrali telefonem – bo nawet w samosądach dokumentacja jest dziś w modzie. Ofiara uciekła i zawiadomiła policję. Sprawcy trafili do aresztu. Teraz grozi im do 25 lat więzienia. Czy 44-latek rzeczywiście ukradł motocykl? Na to nie ma dowodów, poza zeznaniem jednego z oprawców, który „przypomniał sobie", że ofiara mogła mieć coś wspólnego z kradzieżą.

Polska zbrojeniówka dokonała przełomu. Na Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego w Kielcach zaprezentowano bezzałogowca udającego łabędzia lub kaczkę. Oficjalnie: „jednostka autonomiczna przeznaczona do poruszania się po akwenach oraz prowadzenia obserwacji z wykorzystaniem sensorów". Nieoficjalnie: pierwszy dron, którego można wrzucić między ptactwo wodne i nikt się nie zorientuje. Parametrów technicznych nie ujawniono, ale Dowództwo Operacyjne podkreślało „zdolność kaczki do działania w trybie bezzałogowym" oraz możliwość jej integracji z systemami łączności. Zaiste – odkrycie epokowe: kaczka bezzałogowa! A to dopiero początek. Plotka głosi, że w kolejce czekają już: cybernetyczny gołąb zwiadowca, mewa szturmowa i strategiczny bocian dalekiego zasięgu. Kaczka to dopiero preludium do nowej ery ornitologicznej potęgi militarnej.

W rejonie Konina (Wielkopolska) odnotowano trzy głośne huki, słyszane także w Grzegorzewie i Kole. Szyby zadrżały, a mieszkańców ogarnęła trwoga. W ruch poszły gromnice, a piwnice zapełniły się jak za dawnych czasów. Jak później wyjaśniło Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych – zupełnie niesłusznie. To tylko niemieckie myśliwce Eurofighter Typhoon, które wracały z misji w Polsce i przekraczały prędkość dźwięku na wysokości ponad 10 tys. metrów. Nie było więc powodów do paniki, tym bardziej że obecna Bundeswehr Luftwaffe to przecież nasi najlepsi przyjaciele. Musimy się przyzwyczaić do myśli, że teraz jak Niemiec huknie, to tylko z dobrego serca.

Prezes NBP Adam Glapiński ogłosił „historyczny sukces": polski dług rośnie w tempie ekspresowym. W tym roku przebijemy 60 proc. PKB, w przyszłym dobijemy do 67. „Deficyt ogromny, ale kryzysu nie ma" – uspokaja szef banku centralnego. Brzmi to znajomo: domowe finanse w ruinie, karty kredytowe pod korek, a ojciec rodziny mówi, że wszystko gra. Glapiński w tym podejściu nie jest pionierem. W historii ekonomicznej głupoty złotą palmę dzierży Rudolf Havenstein, prezes Reichsbanku w latach 1908–1923. Ten upierał się, że drukowanie coraz większej góry banknotów nie wywołuje inflacji! Przeciwnie, ma pomóc ludziom ją znosić. Skończyło się taczkami pełnymi marek i katastrofą, która dekadę później otworzyła drogę Hitlerowi.

Czterech cudzoziemców skazanych w Polsce za szpiegostwo na rzecz Rosji po odbyciu kar więzienia złożyło wnioski o azyl, by uniknąć deportacji. Z 16-osobowej siatki rozbitej przez ABW w marcu 2023 r. ośmiu wyszło już na wolność. Do tej pory tylko czterech wydalono, a reszta czeka w zamkniętych ośrodkach dla uchodźców na rozpatrzenie spraw. Wnioski: po pierwsze, w Polsce kary za szpiegostwo okazują się zaskakująco łagodne. Po drugie, Rosja musi być naprawdę straszna, skoro nawet agenci FSB wolą zostać tutaj i ryzykować śmierć od parasolki czy nowiczoka – co w przypadku zdrady w rosyjskim wywiadzie bywa niemal pewne. Z innej strony jednak musimy sobie winszować: Polska to taki cudowny kraj, gdzie nawet szpiedzy proszą o azyl.

Białoruskie KGB zatrzymało 27-letniego karmelitę z Krakowa o oskarżyło go o szpiegostwo. Propagandowe media twierdzą, że miał przy sobie kopie tajnych dokumentów dotyczących manewrów Zapad-2025, trochę walut z różnych krajów i kartę SIM „w prezencie". Razem z nim zatrzymano obywatela Białorusi, rzekomego współpracownika opłacanego przelewami. Polskie służby błyskawicznie ogłosiły, że to prowokacja reżimu Łukaszenki – bo przecież zakonnicy od rekolekcji są, a nie od rekonesansu (a co innego miały ogłosić?). Tak oto świat poznał rzekomy pierwszy Zakon Szpiegów Karmelitańskich, którego dewiza brzmi: „Ora et explorare, sabotare et referre" (Módl się i prowadź zwiad, sabotuj i melduj). Według plotek zakon podlega tajemniczej instytucji watykańskiej: Sacrum Officium Recognitionis et Sabotagii – czyli Świętemu Biuru Rozpoznania i Sabotażu. Nazwa zmyślona przeze mnie na poczekaniu, ale brzmi na tyle poważnie, że równie dobrze mogłaby istnieć naprawdę.

Zbigniew Ziobro potwierdził, że zmaga się z nowotworem przełyku z przerzutami do węzłów chłonnych i żołądka, który daje mniej niż 10 proc. szans przeżycia w ciągu pięciu lat. Jak powiedział, „póki co żyję, w miarę sobie radzę". Były minister sprawiedliwości przyznał, że operacja spowodowała poważne powikłania, z którymi obecnie walczy, i dlatego nie pojawia się na posiedzeniach sejmu. Jest wdzięczny lekarzom i „opatrzności", która pozwoliła mu funkcjonować mimo choroby.

RJ

PS Redakcja informuje, iż powyższe informacje pochodzą z doniesień prasy lokalnej oraz źródeł terenowych. Mogą one zawierać nieścisłości lub mijać się z prawdą. W związku z tym należy traktować je z należytą ostrożnością i zdroworozsądkową nieufnością. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne skutki ich wykorzystania.

była i będzie. Zaroiło się od jej ofiar, tylko jakoś tych dręczycieli nie widać. A w pokoleniu dzisiejszych rodziców to już w ogóle ich nie było. Każdy zbierał kopy, nikt nie kopał.



Rys. WIDGET

Pisarz Michel Houellebecq już wiele lat temu robił sobie bekę z ówczesnego francuskiego trendu, że mamy chcą wyglądać jak ich nastoletnie córki, a nawet młodsze siostry owych nastoletnich córek też chcą wyglądać jak one. I rzadko to był efekt słodkiej szesnastolatki. Jesteśmy w czasie do przodu, z Tinderem i resztą tego badziewia – chcemy czy nie chcemy, na niektórych ulicach, w niektórych miastach, miasteczkach czy wsiach, ba, w szkołach oraz urzędach – mamy kurwidołki. Nawet jeśli dziewczynki, dziewczyny i panie miały czyste intencje. Czyste znaczy niezarobkowe.

Z pragmatycznego punktu widzenia to ja po prostu myślę, że to jest niebezpieczne. Stara jestem, wiecie, ja wiem, że jak ktoś chce kogoś zgwałcić, to mu wsio rawno, czy napatoczy mu się wpółobnażona lala czy lala w czadorze. Bierze i ma. Jednak, snuje mi się też po głowie powiedzenie, że „okazja czyni złodzieja". Natomiast pewna jestem, że jest mi bardzo smutno, iż chyba świat zrezygnował – i mam tu na myśli świat kobiet – z rywalizacji na umysły, a zaczął rywalizować na dupy. Bo że kobiety będą ze sobą rywalizować, a przynajmniej rywalizują ze sobą młode kobiety, to nikt tego nie przeskoczy. Ta chęć ostrzenia pazurów na przeciwniczce nam przechodzi dopiero po czterdziestce – kiedy życiowe karty są już rozdane.

Zajęta sobą, przeoczyłam ten moment, kiedy znowu okazało się, że o wartości kobiety świadczy to, czy ma faceta, czy nie. Czy jest ustawiona przy facecie, czy nie jest. Czy ma dzieci, czy nie. Czy jest dobra w łóżku, czy nie jest.

Czy ktoś chciałby ją przelecieć, czy nie. Z tą różnicą, że w konserwie rodem z Hiszpanii generała Franco piętnowało się kobiety, że mają za dużo kochanków, a dzisiaj – że za mało.

Co zaś do tych małych kretynów… W sieci pojawiła się wypowiedź mecenas Agnieszki Prętczyńskiej: „W przypadku nastolatków, jedyne co możemy zrobić, mając na względzie cele ustawy o wspieraniu i resocjalizacji nieletnich, to próbować ich wychować, a nie karać. Przy tym uważam, że sądy za rzadko zobowiązują do terapii psychologicznej. Poleganie na rodzicach, którzy w większości przypadków zwyczajnie nie dają sobie rady wychowawczo, lub na sporadycznych wizytach kuratora to żart, tyle że mało śmieszny. Często demoralizacja nieletniego w początkowym okresie wyłącznie postępuje". W mętnej wodzie ryba pływa – po łbie dostaną szon patrole, nagrywane przez szon patrole dziewczynki i rodzice, tak jedni, jak drudzy. Bo to państwo nosi największą Zieloną Odblaskową Kamizelkę.

IZABELA SZOLC

eprasa.pl b921f55bef

Rak nierówności

Kapitalistyczna dystopia



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nierówności to wybór polityczny – nasz wybór. Dla każdego, kto rozumie, że światem rządzi pieniądz (a rządzi coraz bardziej), powinno być jasne, że im większe nierówności, tym mniej demokracji. Przy czym pragnę wyjaśnić, że nierówności rozumiem nie tylko – a nawet nie przede wszystkim – jako różnice w bieżących dochodach, ale głównie jako różnice w posiadanym majątku.

Z kolei demokracja w moim rozumieniu nie jest systemem odzwierciedlającym jedynie bieżące opinie i nastroje wyborców – jak nam się wmawia i stosuje w praktyce – ale systemem, który faktycznie realizuje interesy (przynajmniej) materialne większości obywateli oraz prawno-człowiecze interesy wszystkich ludzi. Patrząc w ten sposób na rzeczywistość, trudno mi znaleźć na mapie świata miejsca, w których demokracja realnie działa.

Sprzeczność między skrajnymi nierównościami materialnymi a demokracją jest w tym kontekście oczywista. Oczywista nie tylko z samego faktu niesprawiedliwości, ale także z powodu trwającej wojny grupy miliarderów z demokracją, którą to wojnę demokracja systematycznie przegrywa. Wizja ostatecznej przegranej demokracji oznacza niewolę większości ludzi, nieefektywność gospodarczą systemu (biedę), degradację zasobów naturalnych Ziemi i wojny prowadzone naszymi rękami o interesy lokalnych satrapów.

Skoro tak – to stać mnie dzisiaj jedynie na dystopijną bajkę. A ową dystopijną bajką jest współczesna rzeczywistość. Przyjrzyj się uważnie tej dystopijnej rzeczywistości, zanim zdecydujesz się wziąć udział w jakimś następnym obwoźnym przedstawieniu cyrkowym pod nazwą „demokratyczne wybory".

I tak np. według „Inequality Report 2022" najzamożniejsze 10 proc. ludzkości posiada 76 proc. światowego majątku, a biedniejsza połowa ma tylko 2 proc. – wynika z raportu zespołu Piketty'ego z 2021 r. Dane z 2024 r. wskazują, że wskaźnik ten wynosi już 62 proc. Ekonomista z SGH Marcin Wroński, uczestniczący w badaniach Światowego Laboratorium Nierówności, stwierdził: „w ciągu jednego pokolenia Polska z jednego z najbardziej egalitarnych państw Europy stała się jednym z najmniej egalitarnych".

O ile niektóre kraje starają się zmniejszać nieco przyrost nierówności dochodowych przy pomocy progresywnego podatku dochodowego, o tyle chyba nikt nie dba o zmniejszanie dramatycznie wysokich nierówności majątkowych. Nawet w najbardziej egalitarnych państwach ogólny majątek biedniejszej połowy społeczeństwa nie przekracza 5 proc. jego całkowitej wartości. Narastanie nierówności trwa i przyspiesza na całym świecie.

Rzeczywisty poziom nierówności dochodowych i majątkowych w Polsce jest znacznie wyższy niż ten, na który wskazują rządowe dane zbierane ankietowo. 10 proc. najbogatszych Polaków posiada 60 proc. całości polskiego majątku

Do państw o największych nierównościach majątkowych na świecie należą Republika Południowej Afryki, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Brazylia, USA, a także Rosja. Dziwi cię to? Mnie nie. Do najbardziej majątkowo egalitarnych należą np. Hiszpania i Belgia. To też mnie nie zdziwiło. Śledząc naszą propagandę, myślałam, że wśród krajów o dużych nierównościach znajdą się na przykład Chiny. Okazuje się, że Chiny trzymają się jednak bliżej dołu tabeli – obok starych europejskich demokracji, Francji i Włoch. Wygląda nawet na to, że w tej konkurencji Polska je przegoniła.

Szczególnie martwić powinna Europejczyków patologiczna forma zawłaszczania sfery polityki przez oligarchów w Stanach Zjednoczonych. Stany Zjednoczone charakteryzują się większymi dysproporcjami majątkowymi między bogatymi a biednymi niż jakikolwiek inny rozwinięty kraj. Według danych Rezerwy Federalnej z 2021 r. 1 proc. najbogatszych gospodarstw domowych w USA posiadało 31 proc. majątku kraju, a 10 proc. najbogatszych – aż 89 proc. „Biedniejsze pół" Amerykanów ma do kupy jedynie 2,6 proc. amerykańskiego majątku. Problem jest szczególny nie tylko dlatego, że podobno USA są liderem Zachodu, ale przede wszystkim dlatego, że najwięksi bogacze sięgnęli po władzę bezpośrednio: liczna grupa miliarderów osobiście objęła funkcje państwowe. Nierówności w Stanach ustępują jedynie dyktatorskim krajom Afryki Południowej, Ameryki Łacińskiej oraz niektórym państwom Zatoki Arabskiej i Bliskiego Wschodu.

Procesu narastania nierówności w warunkach naszej pozornej tylko demokracji nic nie zatrzymuje od pokoleń – i nic nie jest w stanie go zatrzymać. Nie potrzeba nam dystopii z gatunku fantasy czy science fiction. Wystarczy nam bajka oparta na smutnej rzeczywistości.

Ciekawe, czy na listach wyborczych w najbliższych wyborach parlamentarnych znajdę polityków chcących powstrzymać szaleństwo, o jakim mówi ta bajka. Czy zobaczę postulaty wprowadzenia podatku spadkowego oraz katastralnego dla majątków przekraczających rozsądne granice? Jakoś w to nie wierzę. Chyba będę musiała pocieszać się jakąś optymistyczną bajką.

ANNA GRODZKA

Życie W DOBROBYCIE

● Za poprzednich rządów Tuska emeryci otrzymywali waloryzacje, które przypominały bardziej żart niż podwyżkę. Babcie i dziadkowie dostawali po kilka złotych więcej, a niektórzy żartowali, że znaczek pocztowy do listu z decyzją ZUS kosztował drożej. Z takiej polityki rodziło się poczucie lekceważenia i właśnie ono sprawiło, że PiS wygrało 10 lat temu wybory. Teraz historia może się powtórzyć. Rząd przyjął projekt budżetu na 2026 r. Dochody mają wynieść 647 mld zł, wydatki niemal 919 mld, a dziura w kasie państwa 272 mld. Inflacja prognozowana jest na 3,7 proc. To zła wiadomość dla seniorów, bo waloryzacja ich świadczeń będzie jeszcze niższa niż planowano. Resort rodziny zakładał 4,9 proc. podwyżki, dziś mówi się już tylko o 4,8 proc. – w tym roku było to 5,55 proc. W praktyce oznacza to, że minimalna emerytura wzrośnie z 1878 zł do 1970 zł. Brutto. Eksperci tłumaczą, że niższa waloryzacja to nie koniec świata. Tylko że emeryci nie żyją procentami, lecz kwotą na rękę. W samym rządzie były pomysły, by podnieść waloryzację stosownie do wzrostu płac. Ale w koalicji nie było zgody. Padła krótka odpowiedź: nie ma na to szans.

● Związek Banków Polskich bije na alarm, że w Polsce mamy plagę procesów sądowych o kredyty hipoteczne. Prezes Tadeusz Białek ostrzega: „Mamy do czynienia z rozpędzającym się i działającym na masową skalę, niespotykaną w innych krajach UE, przemysłem podważania umów kredytów hipotecznych. Modelowa umowa może także ograniczyć nieuzasadnione zyski kancelarii prawnych i odszkodowawczych, które przecież – nie oszukujmy się – nie działają w interesie konsumenta, tylko w celu maksymalizacji swojego zysku". Ale to krokodyle łzy. Bo prawda jest taka, że kredyty hipoteczne to dla banków w Polsce złote jaja. Wystarczy spojrzeć na liczby. Średnie oprocentowanie nowych hipotek w Polsce to 6,8 proc., co daje nam drugie miejsce w Europie. Na tę stawkę nie wpływa tylko NBP i jego stopy procentowe. Do marży banków swoje dokłada państwo. Choćby przez podatek bankowy – czyli dodatkowe 0,4 pkt proc. Efekt? Polak spłacający kredyt ma gorzej niż Niemiec, Czech czy Francuz. Nawet Włoch czy Hiszpan płacą mniej, choć ich gospodarki nie kwitną jak ponoć nasza. A banki? Narzekać nie mają powodu. Rekordowe zyski – 42 mld zł w 2024 r. Prezesi inkasują po kilka milionów rocznie. Michał Gajewski z Santander Bank Polska zgarnął 7,1 mln zł, inni bossowie niewiele mniej. Kredyt hipoteczny w Polsce to najlepszy bankowy biznes w całej Europie. Bo nigdzie indziej banki nie mają takiego połączenia: wysokiego oprocentowania, dodatkowych podatków przerzucanych na klientów i państwowych programów, które zawsze dosypią grosza deweloperom i tym samym bankom.



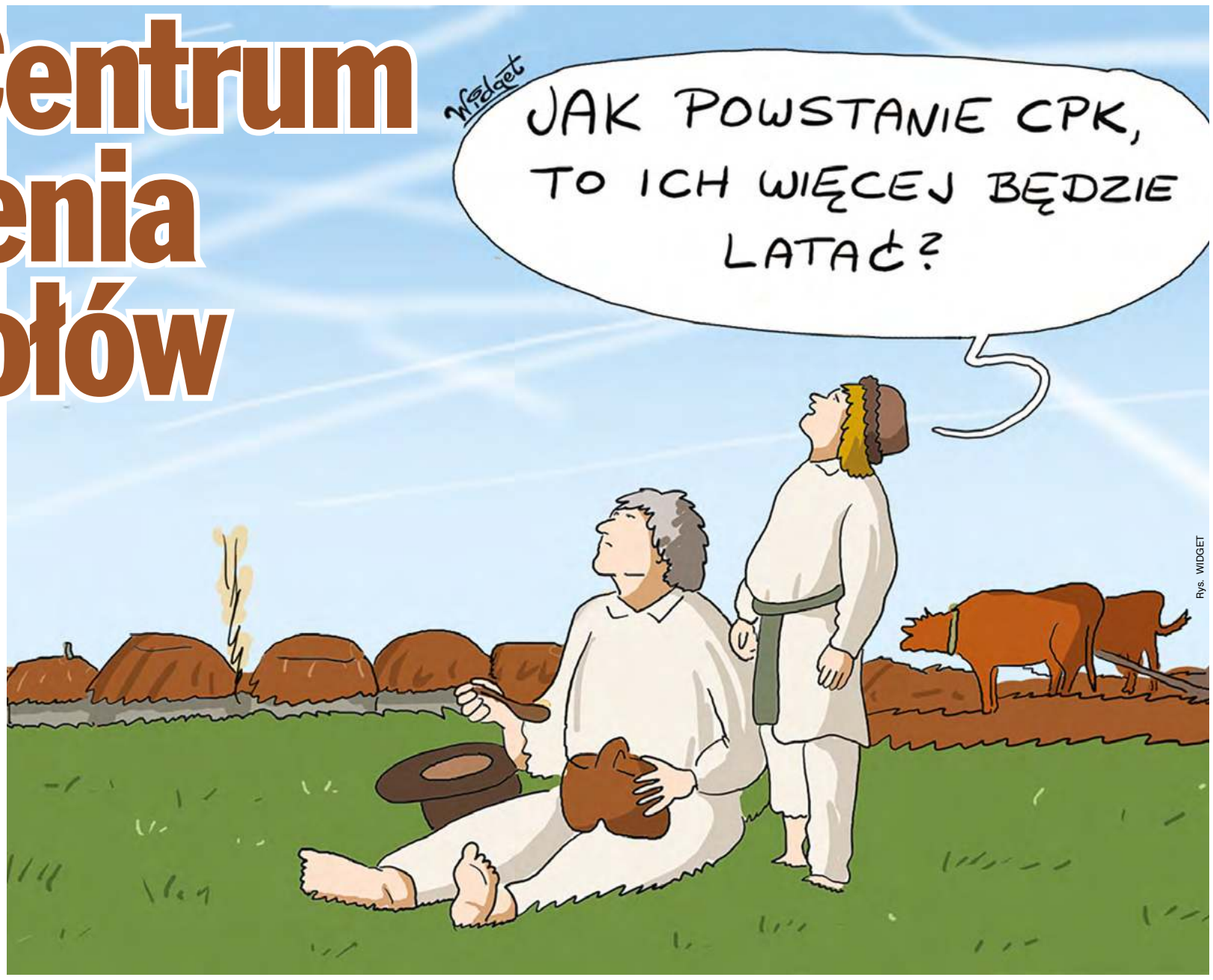
Rys. WIDGET

● System oświaty w Polsce to przykład konstrukcji, którą wymyślił nieuk jakiś. Szkoły należą do gmin, ale pieniądze na pensje daje państwo. Dyrektorów zatrudnia samorząd, ale wysokość wynagrodzeń ustala minister. W efekcie mamy system, w którym nie wiadomo, kto za co odpowiada, więc każdy udaje, że rządzi, a nauczyciele – jak zawsze – próbują coś ugrać. Najprostszą metodą jest zasłanianie się tzw. wynagrodzeniem zasadniczym. Tyle że zasadnicze to tylko część tego, co trafia na konto. Resztę tworzy gąszcz dodatków: za wysługę lat, za wychowawstwo, za godziny ponadwymiarowe, nagrody jubileuszowe, trzynastki i staż. Oficjalnie nauczyciel początkujący z magistrem i przygotowaniem pedagogicznym ma dziś zasadnicze 5153 zł brutto. Ale w statystykach rządowych jego średnie wynagrodzenie wynosi ponad 6600 zł. Nauczyciela mianowanego – ok. 7800 zł, a dyplomowanego nawet 10 tys. W praktyce każdy dostaje inaczej – zależy, ile dodatków wywalczy i czy samorząd akurat ma ochotę dopłacić. Związki zawodowe pokazują więc paski płacowe z samym wynagrodzeniem zasadniczym, żeby opinia publiczna dostała dreszczy. A dziennikarze – jak zawsze – łykają ten przekaz, bo ładnie wygląda w nagłówkach. Tymczasem prawdziwy rachunek za system płacą rodzice. Bo skoro w szkole dzieci rozwiązują głównie sprawdziany, to resztę wiedzy trzeba dokupić u korepetytorów. Efekt? Setki złotych miesięcznie dokładane do edukacji, która teoretycznie jest bezpłatna. W sumie mamy groteskę. Nauczyciele twierdzą, że klepią biedę, związki epatują społeczeństwo nędzą belfrów, samorządy żonglują dodatkami według własnych regulaminów, a minister edukacji ogłasza kolejne podwyżki w procentach. A rodzice, zamiast cieszyć się darmową szkołą, płacą za prywatne lekcje, żeby dziecko cokolwiek zrozumiało. I jak zwykle – najbardziej przegrywają ci, którzy nie mają prawa głosu, czyli uczniowie.

● Media w Polsce straszą nie tylko nędzą w oświacie. Ostatnio starają się wykazać, że węgiel podrożał tak, że zimą naród będzie marznąć. Pokazują też paski z rachunkami za ciepło systemowe, które rosną szybciej niż inflacja. Tyle że fakty są przewrotne. Bo choć ceny na składach opałowych spadły względem ubiegłego roku, to narracja o „najdroższej zimie w historii" trzyma się mocno. Na placach leży węgiel po 1000–2000 zł za tonę luzem i 1200–2500 zł w workach. Przed rokiem tonę kosztowała o jedną piątą drożej. Ale w mediach zawsze pojawi się jakaś pani Małgorzata, emerytowana nauczycielka z domu o powierzchni 90 metrów, która mówi: „Kupuję tylko jedną tonę, a nie dwie jak dawniej. Ogrzewam sypialnię, kuchnię i łazienkę. Reszta musi poczekać na lepsze czasy". Co z tego jednak, że opał tanieje – jak ogrzanie domu to dziś 5560–7500 zł rocznie. A jeśli ktoś zrezygnuje z węgla i zaufa ciepłu systemowemu, to rachunki wcale nie będą lżejsze. Bo od lipca skończyły się dopłaty, a rząd – jak zwykle – „umył ręce". Lokalne ciepłownie wystawiły mieszkańcom nowe taryfy i ludzie przecierają oczy. Jedne spółdzielnie ogłaszają, że podwyżki sięgną 60 proc., a inne – że nawet 88 proc. Według Urzędu Regulacji Energetyki cena 1 GJ wyniesie 255 zł, co oznacza średni wzrost opłat o 86 proc. Dla porównania: od 2022 r. inflacja wyniosła 37,7 proc., a ceny ciepła skoczyły o 71,8 proc. Ciepło drożeje więc

eprasa.pl b921f55bef

CPK: Centrum Pieprzenia Kocopołów



Zamieszanie wokół gigainwestycji

Wojciech Młynarski w pamiętnej piosence „Co by tu jeszcze?" śpiewał o pewnych panach: „Niechaj ta myśl im wzrok rozpromienia, niech zatrą ręce: że tyle jeszcze jest do spieprzenia, a będzie więcej". To chyba najlepsze podsumowanie tego, jak NIK ocenił właśnie przygotowanie i realizację programu budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego.

Izba nie miała litości: pełnomocnik rządu ds. CPK „nierzetelnie sprawował nadzór nad realizacją inwestycji, nieprawidłowo definiował jej skalę i zakres realizacji, zakładając nieaktualne, nierealistyczne i niemożliwe do dotrzymania terminy". Polskie Porty Lotnicze S.A. (PPL) bezpodstawnie odstąpiły od rozbudowy Lotniska Chopina i rozwijania Modlina, jednocześnie pakując kupę forsy na lotnisko Warszawa-Radom, które było skazane na porażkę, bo opierało się na wziętych z sufitu założeniach o liczbie obsługiwanych pasażerów. Przełożyło się to na obniżenie dochodów stołecznych lotnisk, którym nie zwiększono przepustowości. CPK sp. z o.o. nierzetelnie planowała i rozliczała wydatki na inwestycje, a także przygotowywała dokumenty wdrożeniowe z wielomiesięcznym opóźnieniem.

Co istotne, NIK nie badała zasadności powstania CPK, lecz jedynie nieprawidłowości przy planowaniu, przygotowaniu i budowie lotniska (wyjąwszy część drogową i kolejową). Kontrola objęła lata 2021–2024, a więc zarówno za rządów poprzednich, jak i obecnych. Lista zarzutów ciągnie się niczym litania do Matki Boskiej Loretańskiej.

Jak spierdolić wszystko

Projekt Programu CPK na lata 2024–2030 opracowany przez spółkę CPK z 2023 r. opierał się na nieaktualnej prognozie ruchu pasażerskiego sporządzonej na przełomie lat 2021/2022 przez Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Powietrznych. Zgodnie z nim budowa miała zakończyć się w 2027 r., rok później Port miał zacząć działać, wydatki nań miały sięgnąć prawie 43 mld zł, a początkowa przepustowość miała sięgnąć aż 40 mln pasażerów. Szkoda tylko, że pierwszy dokument wdrażający do tego programu miał opóźnienie rzędu 14 miesięcy…

Inwestycja, podobno tak potrzebna Polsce, jakoś nie przyciągnęła chmary firm, liczących na dobry zarobek – jak dotąd nie pozyskano żadnego finansowania komercyjnego. Miliardy na budowę wykłada państwo, głównie poprzez emisję papierów wartościowych. Jak ostrzega NIK: „Brak zawarcia przez spółkę CPK umowy inwestycyjnej z partnerem działającym na warunkach rynkowych może wskazywać na nieopłacalność angażowania się takiego podmiotu w budowę, a następnie zarządzanie CPK – co w konsekwencji może świadczyć negatywnie o rynkowym uzasadnieniu realizacji tej inwestycji".

Pod koniec swoich rządów pisowcy postanowili odpalić protokół przyśpieszenia, tj. równoległego prowadzenia działań planistycznych i negocjacji z potencjalnymi inwestorami i wykonawcami robót. NIK następująco ocenił to turbodoładowanie: „Działania te doprowadziły do bardzo silnej wrażliwości harmonogramu ogólnego inwestycji na jakiekolwiek opóźnienia w realizowanych zadaniach szczegółowych, co w konsekwencji stwarza dodatkowe ryzyka i może spowodować wzrost kosztów inwestycji".

Gdy przyszła uśmiechnięta koalicja, nieco urealniła założenia co do CPK w ramach programu na lata 2024–2032, m.in. przesuwając termin zakończenia budowy (na 2031 r.) i oddania do użytku lotniska (2032), zmniejszając przewidywane koszty do ponad 35 mld zł i tnąc zakładany ruch pasażerski do 34 mln.

Co ciekawe, dopiero 8 stycznia 2025 r. (czyli z 15-miesięcznym opóźnieniem w stosunku do planów!) uzyskano decyzję lokalizacyjną – i to dopiero w pierwszej instancji. A bez tego nie można rozpocząć budowy lotniska.

NIK totalnie zjechała decyzję PPL z 2018 r. o dofinansowaniu kwotą 738 mln zł lotniska Warszawa-Radom, które przynosi straty rzędu dziesiątek milionów złotych rocznie. Izba stwierdziła jednoznacznie, że spółka PPL „utraciła też w 2024 r. przychody szacowane na ponad 210 mln zł w wyniku bezpodstawnego odstąpienia byłego prezesa PPL od modernizacji Lotniska Chopina w 2019 r. oraz braku zgody byłych prezesów PPL na rozwój lotniska w Modlinie w latach 2019–2023. Decyzje podjęte przez kolejnych byłych prezesów PPL o odstąpieniu, a następnie wstrzymywaniu inwestycji w zwiększenie przepustowości Portu Lotniczego Warszawa-Modlin, spowodowały utratę w 2024 r. przychodów w wysokości ok. 83 mln zł, a w latach 2025–2027 mogą skutkować utraconymi przychodami, oszacowanymi przez PPL na ok. 226 mln zł".

Gwoli ścisłości: konkluzja raportu NIK jest taka, że nie ma pewności, czy do 2032 r. CPK zacznie funkcjonować ani czy w ogóle będzie opłacalne.

Pochwała Nawrockiego?

Trudno mi to przechodzi przez gardło, lecz w sporze prezydenta Nawrockiego z rządem o kształt komponentu kolejowego, ten pierwszy ma dużo racji. Walka toczy się o Kolej Dużej Prędkości (KDP). Donald Tusk, w swej faraońskiej fantazji „Polski 100 minut", zakłada, że pociągi będą mknąć z prędkością 320 km/h, lecz ominą średnie miasta, idąc po linii tzw. Y (Warszawa–Poznań–Wrocław). Pisowski mieszkaniec pałacu prezydenckiego żądał powrotu do pierwotnej wersji KDP, znanej jako koło ze szprychami, zakładającej prędkość maksymalną rzędu 250 km/h.

Argumenty Nawrocki ma bardzo mocne: zawrotna szybkość nie bardzo przełoży się na czas podróży – skracając ją zaledwie o 3–5 minut na odcinku 100–150 km. Co gorsza, szybsze pociągi będą doganiać wolniejsze, ograniczając znacząco przepustowość. Do tego wersja Tuska jest w chuj droga.

Budowa infrastruktury ma być droższa nawet o 20 proc. niż w opcji pierwotnej, zakup taboru to prawie 1/3 wydanej forsy więcej, a większa prędkość oznaczałaby drastycznie większy pobór energii trakcyjnej – aż o 70 proc. Z oczywistych względów wiązałoby się to z dużo wyższymi cenami biletów. No i superszybki tabor trzeba by kupić w zagranicznych firmach.

Resort infrastruktury odpowiedział, że polskie firmy mogą uczestniczyć w przetargach. A poza tym, jak się chce prędkości „tylko" 250 km/h, to nie ma sensu budować komponentu kolejowego CPK, gdyż i bez tego osiągniemy ją za dwa lata.

Jeśli to prawda, to wyciągam z tego jedynie słuszny wniosek: całe to CPK to zawracanie głowy. I przepalanie kasy. Za ułamek pieniędzy, jakie na nie mamy wydać, można by rozwinąć sieć lotnisk i usprawnić kolej, skutecznie zwalczyć wykluczenie komunikacyjne, które z milionów ludzi starszych, biedniejszych, bez samochodu czyni troglodytów i więźniów własnych wiosek i miasteczek. Ale przecież to nie byłoby patriotyczne, my Polacy jesteśmy wszak stworzeni do rzeczy wielkich, a sprawne, przyjazne państwo – w tym dobra infrastruktura komunikacyjna – to wymysł tych, którzy są przyziemni.

Jeśli idzie o CPK, polscy politycy i media zachowują się jak Kogut w opowiadaniu Sławomira Mrożka pt. „Artysta". Chciał się on nająć w cyrku na lwa i by przedstawić swe referencje – zaryczał, lecz Dyrektor tej instytucji powiedział, że zna lwy, które lepiej ryczą. Zaproponował mu pracę w charakterze koguta, lecz ptak odmówił. Dlaczego? Wyjaśnia to kolega Koguta, Lis: „Czy widziałeś kiedyś artystę bez ambicji?".

Szkoda, że za ambicje związane z CPK zapłacimy wszyscy, a najbardziej ci, którzy zeń nigdy nie skorzystają…

KAT

---

dwa razy szybciej niż wszystko inne. Dlaczego tak się dzieje? Bo Polska to jedyny duży kraj Unii, który wciąż grzeje się głównie najdroższym na świecie węglem. Cała reszta Europy przesiadła się na gaz albo biomasę. Ale gdy na rynkach światowych gaz tanieje, w Polsce płacimy za niego jak za zboże – 150 zł za MWh. Na papierze miliardy z programów „Czyste powietrze" i „Termomodernizacja" miały obniżyć rachunki. W praktyce ceny ciepła systemowego rosną jak na drożdżach. Bo każdy lokalny monopolista może podnieść taryfę, a URE zatwierdzi – bo musi. Rząd rozkłada ręce, a w zamian proponuje „bon ciepłowniczy" dla najbiedniejszych. Czyli łata dziury pieniędzmi, zamiast naprawiać system.

● Polski rodzic wciąż żyje w przekonaniu, że sukces w życiu zaczyna się od ślęczenia nad podręcznikami. Dziecko musi latami wkuwać, żeby zdać maturę, a potem iść na studia. Najlepiej na „prestiżowym kierunku". Rodzice chwalą się potem dyplomem dziecka, choć w praktyce oznacza on dla ewentualnego pracodawcy bardzo niewiele. Bo dzisiejszy rynek pracy mówi coś zupełnie innego. Sztuczna inteligencja wchodzi tam, gdzie jeszcze niedawno uważano, że człowiek jest niezastąpiony. Programiści? Robot pisze algorytmy szybciej i taniej. Prawnicy? AI analizuje dokumenty w parę minut, a nie w parę dni. Lekarze? Diagnostyka obrazowa idzie maszynie sprawniej niż doktorowi po dyżurze. Za to fachowiec od spawania, operator CNC (cokolwiek to jest) czy monter konstrukcji stalowych – taki człowiek pracy nie szuka. „Deficyt wykwalifikowanych spawaczy w Polsce osiągnął punkt krytyczny. W żadnym powiecie nie ma nadwyżki fachowców" – alarmuje raport. Ile zarabia ktoś, kto zamiast studiować „zarządzanie i administrację publiczną", wziął trzy szybkie kursy i zdał egzamin spawalniczy? W Polsce spawacze mają 7,4–10 tys. zł brutto na umowie. Na samozatrudnieniu – nawet 11 tys. zł miesięcznie. A za granicą? Niemiecka firma płaci 17–22 tys. zł. Wymagania? Certyfikat i znajomość języka. A tymczasem w Polsce rodzic nigdy dziecku nie powie: „Idź na kurs spawacza, bo będziesz zarabiał więcej niż profesor uniwersytetu". Bo jakże to tak: syn spawacz, a nie magister? Problem w tym, że syn magister już dziś może nie mieć roboty, bo zastąpi go sztuczna inteligencja. A spawacza jeszcze długo nie.

TTJ

REKLAMA



eprasa.pl b921f55bef

Kurwidołek

Ziemia obiecana, niedotrzymana

Odnoszę wrażenie, że są miasta, którym zdaje się, że nie potrzebują chleba, bo ważne są wyłącznie igrzyska. Takim miastem jest moja rodzinna Łódź. Pod koniec sierpnia odbyła się tu Parada Wolności. Impreza reaktywowana w roku 2022 po 20 latach przerwy i od trzech lat nabierająca rozmachu… Podobno.

W 2002 r. ówczesny prezydent miasta Jerzy Kropiwnicki, wbrew wynikowi miejskiego referendum, zablokował organizację parad. Najwyraźniej uznał, że promowany przez niego Orszak Trzech Króli jest bardziej atrakcyjny dla mas. Miał też dość opinii, jaka przylgnęła do Łodzi: kurwidołek.

Pierwsza parada, wzorowana na berlińskiej Love Parade, odbyła się w roku 1997. Jak to z tym wzorem było? Nijak. A z kurwidołkiem? Goście przyjeżdżający do Łodzi na paradę, a i do sieci ówczesnych klubów rozciągniętych jak ulica Piotrkowska długa, szybko orientowali się, że tutaj nie tylko wypiją taniej niż na przykład w Warszawie. Łapali się też na tym, że za drinka zyskują dziewczynę do łóżka.

Nie było to wszakże jakieś niezwykłe odkrycie; po prostu dokonało go kolejne pokolenie, Polska stała się bardziej mobilna, a groszowy seks mniej dyskretny niż w czasach PRL.

Owszem,

po upadku fabryk w Łodzi zostały tysiące kobiet bez przydziału. Za to z przychówkiem albo marzeniami – na głowie. Niektóre załapały się do prywatnych szwalni albo szyły na tzw. dzikusa. Inne, wiele, wiele innych, zostało kurwami.

Prasa z lat 90. pękała od ogłoszeń – „Przyjmę panie do salonu masażu". I panie szły masować. Hurtowo. Dzisiaj to jest tajemnica poliszynela. Doświadczenia, traumy, okazje są wszakże niewymazywalne.

Salony masażu wyrastały jak grzyby po deszczu. Podobnie kluby go-go. I agencje modelek dla specyficznych hostess. O Łodzi mówiło się w Warszawie, że jest to miasto, w którym cichodaje nawet nieświadome, że są cichodajami, paradują po obu stronach głównej ulicy, czyli Piotrkowskiej. Tylko brać.

Ibrano. A jak wybudowano Manufakturę, to w Łodzi urodziło się określenie: galerianki.



Rys. TOMASZ WIATER

Film Katarzyny Rosłaniec „Galerianki" z 2009 r. miał plenery w warszawskim Centrum Handlowym Reduta, ale galerianki urodziły się w Łodzi w 2006 r. Na rok przed pierwszą Paradą Wolności.

Słusznie napisano w onetowskim artykule z roku 2022 (bazując na książce Wiktora Skoka „Czata I Jude 1993–2017") o historii łódzkiej Parady Wolności: „Wybuch był tak ogromny, że odłamki spadły na cały kraj, a samo epicentrum chyba już na zawsze zostanie aktywnym wulkanem – centralnym miejscem spotkań wyznawców techno w Polsce (…). Dlaczego wulkan wybuchł akurat w Łodzi? Powodów popularności muzyki techno w mieście robotniczym, pełnym maszyn, fabryk, kominów i smutnych twarzy, można się jedynie domyślać. Zapewne koloryt, spektakularność techno widowisk i łatwość uczestniczenia sprawiają, że są one wymarzoną ucieczką w zupełnie inny świat pełen radości i barw". W innym miejscu tekstu pojawia się charakterystyka: „Fabryczna i niemająca szczęścia do władz Łódź zajmowała w latach 90. ostatnie miejsce w kraju w kwestii przeciętnego wynagrodzenia i wyposażenia mieszkań w łazienki, przodowała zaś pod względem wskaźnika zgonów i umieralności niemowląt. W takim miejscu — zwanym później »polskim Manchesterem« – miał rodzić się techno-ruch".

Kłopot w tym, że w roku 2025 Łódź nadal nie ma szczęścia do władz. Zarobki są tu marne. Kibli jak nie wybudowano, tak nie wybudowano. Śmiertelność jest najwyższa. Jest to miasto, które najszybciej się wyludnia. Może poprawiła się opieka okołoporodowa, ale dzieciaki rodzą są z upośledzeniami umysłowymi, wcześniactwem, słabe. Które miasto zapewniło kobietom takie permanentne zatrucie rtęcią i innymi truciznami używanymi tak w XIX-wiecznych fabrykach, jak i tych XX-wiecznych jak Łódź? Żadne. A tutaj wciąż się o tym nie rozmawia. Wszakże tego syfu z gruntu nie da się wydobyć.

Kurwidołek pozostał kurwidołkiem, choć stracił na popularności. Bo jest Tinder, a i obyczajowość jednak się zmieniła. Poluzowała. Oglądając zdjęcia pań i panów z Parady Wolności, człowiek nie wie, gdzie podziać swoje jakże skromne oczy… Z wyjątkiem kilku balonów w kształcie jednorożców próżno by było dopatrywać się oznak kultury gejowskiej.

A przecież wiedziano, kiedy dinozaury, a nie jednorożce buszowały po świecie, że jak ktoś chce chłopczyka, to musi szukać w łódzkiej knajpie Honoratka. Albo na starym dworcu Łódź Fabryczna. Później pojawiły się zamknięte kluby gejowskie, ale i tak najlepiej łowiło się chłopców – tych z marzeniami i z robociarskich rodzin – w okolicach zespołów szkół budowlanych. Albo modeli z Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych czy liceów plastycznych. Taniocha! I względna świeżość. W dodatku byli i chłopcy, którzy na własnym chuju się odkuli i zostali Towarzystwem.

Dziewczynom było i jest znacznie gorzej. Najdroższe kurwy siedziały w Grandzie. Po latach, uczennice – w kawiarni Wiedeńska, naprzeciwko Grandu. Tani pigalak, ale jednak pigalak był na Alejach Kościuszki, w okolicy biur telekomunikacji, ale go remonty prezydent Zdanowskiej dojebały. Nie ma już też panienek w parku przy Dworcu Fabrycznym, park został, dworzec się zmienił… Nie ma Hotelu Polonia, gdzie zawsze przaśny pokoik się znalazł. Ba, jako pierwsza zniknęła bodaj kawiarnia Ratuszowa na Piotrkowskiej – gdzie przesiadywały cichodajki, dziewczynki i polowały na studentów o smagłym obliczu. Mogłeś je mieć za rajstopy, za dżinsy to już ho, ho…! Ale przede wszystkim miałeś je za to, że one bawiąc się twoim chujem, myślały, że dotykają marzeń, choć ty nieświadomy bawiłeś się ich marzeniami.

A one marzą i marzą, i paradują na Paradzie Wolności 2025. I jak zwykle w Łodzi jest tu znacznie więcej kobiet niż mężczyzn. I tych dziewczynek i tych mamuś dziewczynek. Bo żeby było jasne: to nie jest miasto, w którym niunia dostanie w gębę od matki za to, że się puszcza. Bieda demoralizuje? A może bieda & demoralizacja jest faktem z przyrodzenia? Może demoralizują marzenia? Ale przecież ludzie chcą marzyć. A i przeklęta jest ta nasza Ziemia Obiecana! Wszakże i Reymont już opisywał stosunek majstrów do prządek. Mocno… Stosunkowy.

Pięćdziesiąt lat temu Andrzej Wajda ruszył w Łodzi ze zdjęciami do filmowego hitu „Ziemia Obiecana". Dzisiejsza Łódź też to świętowała. Łódź w świętowaniu, w igrzyskach naprawdę jest najlepsza. Polecam Państwu obejrzenie teledysku i wsłuchanie się w słowa piosenki Jonasza Kofty, która towarzyszyła premierze filmu Wajdy. „Kto nam obiecał tę ziemię – ten nie dotrzymał słowa. Grząskim jest bagnem pragnienie – pochłonie, coś zbudował… Nienasycony głód i brud naszych uczynków, naszych cnót, ran rozjątrzonych nie zagoił. Jesteśmy chorzy tak jak wprzód – i tylko miasto stoi".

IZABELA SZOLC

Uroki nocnej prohibicji

Melino, wróć!

W nocnej prohibicji nie chodzi o dobrostan mieszkańców, ale o to, by właściwi ludzie mogli zarobić. A inni – zamilknąć.

Nie pijesz – nie płacisz

W PRL zakaz sprzedaży alkoholu nocą obowiązywał w całym kraju. Meliny też działały wszędzie. Kto pamięta lata 80., ten wie, że żadna ustawa nie miała szans z popytem. Alkohol można było kupić w każdej dzielnicy, pod każdą klatką, u każdego „pana Henia", który nie zadawał pytań i nie wystawiał paragonów. Na każdej większej ulicy można było znaleźć miejsce, gdzie szklanka herbaty kosztowała pięć złotych, a reszta transakcji odbywała się na zapleczu. Milicja o tym wiedziała. Czasem przymykała oko, czasem miała w tym swój udział. Ale system działał. Nikt nie walczył z popytem, tylko z niewygodnym widokiem pustych butelek. Ówczesna polityka polegała na udawaniu, że zakaz coś zmienia, a rzeczywistość – na obchodzeniu zakazu z mniejszym lub większym wdziękiem. Władza uznawała, że fikcja wystarczy.

Potem komuna przeszła do historii, a wraz z nią kultowa 13.00, której Shakin Dudi poświęcił nawet hymn zatytułowany „Za dziesięć trzynasta".

W 2017 r. państwo dało samorządom władzę nad procentami: mogą wprowadzać nocną prohibicję. Uchwały mnożyły się jak grzyby po deszczu. W Krakowie, Gdańsku, Bydgoszczy, Wrocławiu, Zielonce i Brwinowie. W gminach turystycznych i przemysłowych. Zaczynało się zazwyczaj od deklaracji: „dla mieszkańców", „dla bezpieczeństwa", „dla walki z patologią". Na sesjach rad cytowano statystyki interwencji, opowieści mieszkańców i własne, osobiste obserwacje nocnego życia.

W Słupsku, Białej Podlaskiej i Michałowicach też zdecydowano o ograniczeniach. Powody zawsze te same – hałas, alkohol, młodzież. W Zielonej Górze jeden z radnych argumentował, że „mieszkańcy muszą spać spokojnie", ale dane z policji nie pokazywały wzrostu przestępczości. W Piotrkowie Trybunalskim zakaz został zaproponowany, ale odrzucony po burzliwej debacie – właściciele sklepów pokazali, że 60 proc. obrotów robią po 22. Jednak tam, gdzie uchwała wchodziła w życie, rozpoczynało się kombinowanie.



Rys. OBYWATEL JANEK

Nie masz cwaniaka...

Bo kiedy zakaz dotyczy tylko sklepów, a nie barów – to wiadomo, co trzeba było zrobić. Tak jak w Szczecinie, gdzie właściciele sklepów zgłosili działalność restauracyjną. Wystarczyło w sklepie postawić stoliczek, dołożyć krzesło, zainstalować kotarę i już – alkohol legalnie mógł być dostępny całą noc. W jednym z punktów powstała nawet karta alkoholi – elegancka, z opisem i propozycjami „na miejscu". Wszystko zgodne z literą prawa. W innym pojawił się ogródek z plastikowymi meblami – rozstawiany po 23, zdejmowany o szóstej. Lokal działający wcześniej jako sklep spożywczy, po zakazie przemianował się na „degustacyjny punkt kultury". Klient dostawał kieliszek do ręki, butelkę i rachunek – jak w restauracji. A że butelkę zakręcał, brał w kieszeń i szedł pić gdzie indziej? W innych miejscach z kolei stworzono „pokój relaksu", z leżakami, roślinami doniczkowymi i menu „wspomagającym rozmowę".

Olsztyn wprowadził prohibicję już w 2018 r. Szybko jednak pojawił się przedsiębiorca, który jął sprzedawać „bilety na zamkniętą imprezę". Po wejściu klient – jako uczestnik wydarzenia – mógł kupić piwo. W weekendy przed wejściem ustawiały się kolejki. A gdy reporterzy odwiedzili sklep w środku tygodnia, bez problemu kupili alkohol – dostając wcześniej „wejściówkę". Ochroniarz nie protestował, ekspedientka nie pytała, władze miasta też.

Inny lokal w Olsztynie oferował klientom „sesje relaksacyjne" z degustacją. Klient podpisywał „formularz udziału", po czym dostawał trzy piwa i słone paluszki. W Mielnie z kolei wystarczyło wejść do „lokalu gastronomicznego", gdzie napis głosił: „Alkohol otwieramy! Prosimy o konsumpcję na miejscu". W rzeczywistości – sklepową ladę zastąpiła kontuarowa podpórka, a butelki były odkręcone – więc zgodnie z przepisami nie były już sprzedażą „na wynos".

W Brwinowie sklep spożywczy zmienił się w „klub kulturalny", w którym „członkowie" mogli korzystać z alkoholu w ramach „abonamentu degustacyjnego". Inny punkt w Zielonce wymagał podpisania regulaminu, że alkohol spożywany jest „w ramach warsztatów smakowych".

Z czasem kreatywność rosła jeszcze bardziej. W Zakopanem zakaz wszedł w życie w 2022 r. I momentalnie taksówkarze wpadli na pomysł: „alkohol z dowozem" – z gminy obok, bez prohibicji. Koszt? 70 zł za kurs, plus flaszka. W Raszynie? Klienci jechali do Warszawy.

W Białej Podlaskiej? Zrezygnowano z zakazu, bo meliny rosły jak grzyby po deszczu. W Kartuzach? Uchwałę uchylono po roku – zakaz nie ograniczył burd, tylko przeniósł je do barów. W Nowym Targu burmistrz odrzucił projekt prohibicji, uznając, że „nie będziemy tworzyć fikcji legislacyjnej, której nikt nie zamierza egzekwować". W Serocku z kolei zakaz obowiązywał przez pół roku – do momentu, gdy właściciele sklepów zorganizowali zbiorowy protest, wykazując, że liczba interwencji policyjnych wcale się nie zmieniła.

I problem z głowy!

Widać zatem, że nocna prohibicja to hipokryzja. W teorii zakaz działa od 22 lub 23 do 6 rano. Ale tylko dla sprzedaży „na wynos". W lokalu – można. Na miejscu – można. Jeśli sklep ma bar – można. Jeśli nie ma – zakazane. Przedsiębiorcy zgłaszają więc działalność gastronomiczną, bo tylko tak mogą ratować nocne obroty. Ile wart jest zakaz, który da się obejść tak łatwo? Przecież wszyscy wiedzą, że chodzi o zasady gry, nie o ich przestrzeganie. Rada miasta ustala zasady pasujące tym, którzy mają środki na obejście. Rodzinne sklepy nocne odpadają. Znikają z mapy. A lokale z licencją gastronomiczną rosną w siłę. Tak samo jak wpływy z koncesji. W Krakowie po wprowadzeniu zakazu w centrum miasta liczba wniosków o nowe koncesje gastronomiczne wzrosła o 28 proc. w ciągu trzech miesięcy.

W Bydgoszczy otwarto o 17 proc. więcej „punktów konsumpcyjnych" – większość to sklepy zmienione w bary. Władze miasta tłumaczyły, że „to efekt rosnącego zainteresowania kulturą picia".

Mieszkańców, których wcześniej chronił zakaz picia w sklepie i jego otoczeniu, teraz już przed napranym towarzystwem nie chroni nic.

I oto mamy efekt uboczny: ustawowa promocja barów i urzędnicza uciecha. Miasto może mówić: „wprowadziliśmy zakaz", a jednocześnie zarabiać na nowych wnioskach o sprzedaż „na miejscu". Urzędnik nie musi walczyć z hałasem, bo to już „lokal", nie „sklep". I może spać spokojnie. A że klient wciąż może kupić alkohol? No cóż – niech pije z kieliszka, nie z butelki. Nie na ławce, tylko przy stoliku. Różnica czysto semantyczna, ale jakże elegancka. Tyle że niemająca nic wspólnego z rzeczywistością. Statystyki interwencji nocnych pospadały tylko dlatego, że wiele sklepów po prostu zamknęło działalność, więc źródła hałasu też zniknęły.

Ministerstwo Zdrowia chce zakazu sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych. Tymczasem eksperci przypominają: 4,5 proc. sprzedaży alkoholu w Polsce przypada na stacje benzynowe. I pytają: naprawdę to one są problemem? Z danych instytucji zwalczających alkoholizm wynika, że zakaz ten nie tylko nie ograniczy dostępu do alkoholu, ale może prowadzić do wzrostu cen paliw – bo stacje będą musiały rekompensować straty. Centrum Oceny Skutków Regulacji ostrzega przy okazji, że takie selektywne ograniczenia mogą być sprzeczne z konstytucyjną zasadą wolności działalności gospodarczej. W grę mogą wchodzić też olbrzymie odszkodowania.

A co z bezpieczeństwem na drogach? Dane z Niemiec pokazują, że prohibicja nocna nie zmniejszyła liczby wypadków. W Polsce – najwięcej wypadków z udziałem nietrzeźwych kierowców zdarza się między 16 a 20. Nikt wtedy zakazu nie proponuje. Ale nocą – owszem. Bo nocną prohibicję łatwiej uchwalić. Łatwiej przekonać. Łatwiej zaaplikować pozorne rozwiązanie, które daje wrażenie działania.

Bo jak powiedział pewien właściciel sklepu w Katowicach: „Prohibicja nie zabrała wódki z miasta. Zabrała ją tylko z naszych rąk i oddała tym, co mają większy, ładniejszy lokal i kasę na koncesję".

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl b921f55bef



Rys. WIDGET

Zarządzanie przez zastraszanie

Jak grzeją w Kędzierzynie

Kędzierzyn-Koźle ma zapewnione ciepło w kaloryferach, ale w Miejskim Zakładzie Energetyki Cieplnej atmosfera jest lodowata. Przynajmniej dla związkowców.

Barbara Konobrodzka i Rafał Ślusarczyk, członkowie Związkowej Alternatywy, od lat walczą o prawa pracowników – o podwyżki, o przyzwoite traktowanie, o transparentne decyzje kierownictwa. Zamiast nagrody za odwagę spotyka ich mobbing – ośmieszanie, izolowanie, podważanie kompetencji. I zamiast realnej pomocy zakład postanowił „rozwiązać problem" w jedyny znany sobie sposób: wyrzucić ich na bruk.

Ciepłownia w teorii należy do mieszkańców – bo to spółka miejska, finansowana z publicznych pieniędzy. W praktyce działa jak prywatny folwark, gdzie najważniejsze jest, by nikt nie bruździł kierownictwu. Pracownik, który podniesie głowę i spróbuje się bronić, automatycznie staje się wrogiem. System jest prosty: milczysz – dostajesz wypłatę. Mówisz o nadużyciach – kończysz w gabinecie kadrowej, gdzie wręczają ci papier do podpisu.

Ślusarczyka już w 2023 r. próbowano wylać z roboty – sąd w 2024 r. przywrócił go do pracy, ale nie oznaczało to końca szykan. Konobrodzka zaś, która w lipcu 2025 r. odważyła się oficjalnie zgłosić mobbing, otrzymała zawiadomienie o zamiarze zwolnienia – nagle „odkryto" dokumentacyjne błędy, które wcześniej nikogo nie interesowały. To nie jednostkowe przypadki, ale dowód, że w MZEC działa system, którego celem jest uciszanie niewygodnych. Pracownicy w swoich relacjach mówią jednym głosem: w MZEC panuje atmosfera strachu. Zarzucają przełożonym systematyczne poniżanie i ośmieszanie, izolowanie od zespołu, podważanie kompetencji, a także nagłe i arbitralne zmiany zakresu obowiązków. Do tego dochodzi presja kadrowa: groźby zwolnień oraz wyszukiwanie pretekstów do ukarania osób, które ośmieliły się zabrać głos. W ocenie związkowców to nie są incydenty, lecz konsekwentna praktyka zarządzania oparta na zastraszaniu i eliminowaniu niewygodnych.

MZEC powinien być instytucją zaufania publicznego. Tymczasem zaufania brakuje – nie tylko w relacjach z pracownikami, lecz także między zakładem a mieszkańcami. Bo jeśli kierownictwo potrafi latami ignorować mobbing, to jaką mamy pewność, że reaguje właściwie na problemy techniczne czy finansowe? Brak elementarnej odpowiedzialności wewnątrz zawsze grozi bałaganem na zewnątrz. Mieszkańcy zaczynają to dostrzegać. W internecie wrze – pytania o przyszłość zakładu, o odpowiedzialność władz miejskich, o kontrolę nad finansami pojawiają się coraz częściej. Bo skoro pracownikom można zgotować taki los, to czy mieszkańcy mogą ufać, że w razie poważnej awarii dostaną jasną informację, a nie propagandowy komunikat? Sprawa Konobrodzkiej i Ślusarczyka ma wymiar znacznie szerszy niż jeden konflikt w pracy.

MZEC to przykład, jak w Polsce funkcjonują spółki komunalne – niby miejskie, niby obywatelskie, a w praktyce księstewka, gdzie władza decydentów jest praktycznie nieograniczona, a prawa pracowników iluzoryczne.

Związkowcy twierdzą, że odpowiedzialna za to, co się dzieje w spółce, prezes Jolanta Gądek-Rypel cieszy się szczególnymi względami prezydent miasta Sabiny Nowosielskiej. Politycy lubią opowiadać, że dbają o zwykłych ludzi, o pracowników, o tzw. elektorat. Ale kiedy przychodzi do konkretu, do decyzji – czy wesprzeć mobbingowaną pracownicę, czy raczej ochronić dyrektora – wybór jest oczywisty. Władza zawsze stoi po stronie władzy. A obywatel, czy to lokator, czy to pracownik, zostaje sam.

Związkowcy ze Związkowej Alternatywy nie proszą dziś o luksusy – walczą o elementarne bezpieczeństwo pracy i o to, by spółka miejska nie była folwarkiem lokalnych notabli. Po 35 latach III RP komuś jeszcze się chce.

DAMIAN DUSZCZENKO

Odkurzanie pałacu

W budżecie 2026 r. ponad 4 mld zł przeznaczone zostaną na wsparcie budownictwa socjalnego i komunalnego. A Pałac Saski będzie kosztował 4,5 mnld zł.

A zaczęło się ponad 300 lat temu, gdy XVII-wieczny dwór Morsztyna został wykupiony przez Augusta II Mocnego, który zamarzył sobie, że w środku Warszawy stanie coś na kształt saskiej rezydencji drezdeńskiej. Pałac przechodził potem z rąk do rąk, z pokolenia w pokolenie, by w XIX w. trafić pod kontrolę carskiej administracji.

Monumentalna opresyjność

I to właśnie wtedy nastąpiła jego wielka przemiana: z klasycznego założenia rezydencyjnego stał się ponurym, neoklasycystycznym gmaszyskiem, którego forma – monumentalna, ciężka, opresyjna – była dokładnie taka jak ówczesna rosyjska polityka wobec Polaków.

Bo zbudowany w połowie XIX w. przez rosyjskiego oligarchę Skworcowa na polecenie Iwana Paskiewicza – namiestnika Królestwa Polskiego i oprawcy powstania listopadowego – nowy Pałac Saski nie był już pałacem saskim, lecz pomnikiem carskiej dominacji. Królowały tu urzędy, kwitły imperialne procedury, a budynek, niczym forteca, miał przypominać, kto naprawdę rządzi w Warszawie.

W okresie międzywojennym pałac był siedzibą Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, a w jego murach działało legendarne Biuro Szyfrów, które złamało kod Enigmy. Ale nie to przyniosło mu powszechną rozpoznawalność – paradoksalnie jego sławę zbudowało zniszczenie. Po powstaniu warszawskim Niemcy wysadzili cały kompleks – z pałacu pozostały jedynie trzy arkady kolumnady, które dziś tworzą prawdziwą perełkę architektoniczną na skalę światową: Grób Nieznanego Żołnierza.

Pałacu Saskiego, w przeciwieństwie do Zamku Królewskiego, Polska Ludowa nie próbowała odbudowywać. Pozostawiła ruiny kolumnady – jako nieme świadectwo. I to była decyzja mądra.

Plac, na którym stał pałac, również przechodził rozliczne przeobrażenia. Nosił imiona kolejnych ideologii i systemów – od Saskiego, przez Marszałka Piłsudskiego, Hitlera, Zwycięstwa i znowu Piłsudskiego. Na początku XX w. dominował tu cerkiewny monumentalizm – Sobór św. Aleksandra Newskiego i jego 70-metrowa dzwonnica. Sobór rozebrała sanacja, a w czasie okupacji Niemcy w tym miejscu ulokowali olbrzymie „V", mające gloryfikować sukcesy Wehrmachtu. Po wojnie wróciła pustka zabudowywana sukcesywnie pomnikami. No i „schodami smoleńskimi".

Strzelmy sobie pałac

Niestety, padło też pytanie, czy odbudować Pałac Saski. Pierwszy odpowiedział na nie prezydent Kwaśniewski, który pod koniec drugiej kadencji pozwolił sobie na chwilę monumentalnej zadumy. I właśnie wtedy, w styczniu 2004 r., ogłoszono przetarg na odbudowę pałaców Saskiego i Brühla. Budowa miała ruszyć jesienią 2005 r. i zakończyć się po trzech latach. Przetarg jednak odwołano.

W lipcu 2005 r. pojawił się drugi – tym razem na sam Pałac Saski. Budynek miał być wskrzeszony w duchu nowoczesności, ale z szacunkiem dla przeszłości. Prace przygotowawcze ruszyły – wykopano, co się dało, zrobiono porządną inwentaryzację piwnic, znaleziska rozdzielono po muzeach, powstały pierwsze raporty. A potem wszystko umarło.

W 2008 r., w czasach rządów PO–PSL, miasto Warszawa rozwiązało umowę z Budimexem – generalnym wykonawcą – i temat odbudowy zgasł. Minister kultury Bogdan Zdrojewski próbował tchnąć nowe życie w koncepcję w 2012 r., ale Hanna Gronkiewicz-Waltz nie dała na to ani grosza – i miała rację. Bo już wtedy było wiadomo, że cała odbudowa miałaby kosztować co najmniej 350 mln zł, a efekt byłby co najwyżej dyskusyjny.

W międzyczasie miejsce fundamentów zasypano, położono płyty, postawiono tablice – i wszystko wyglądało jak jakiś archeologiczny rezerwat.

Tak to sobie trwało przez parę lat. Aż do momentu, gdy Andrzej Duda, z właściwym sobie patosem, podczas obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości zapowiedział, że „Pałac Saski odbudujemy". Nie wiadomo było dokładnie po co, nie wiadomo za co, ale wiadomo było – że będzie.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Morawiecki początkowo nie wykazywał entuzjazmu – kalkulował. Przez ponad dwa lata przeciągał sprawę, lawirował, opóźniał. Ale presja narodowo-historycznych środowisk oraz polityczny oportunizm przeważyły. W 2021 r. sejm przyjął ustawę o odbudowie zachodniej pierzei Placu Piłsudskiego, a rząd powołał specjalną spółkę – Pałac Saski sp. z o.o. – która miała projekt zrealizować.

Od razu też okazało się, że nie chodzi wyłącznie o pałac, ale o cały kompleks – Pałac Saski, Pałac Brühla oraz trzy kamienice przy ul. Królewskiej. Oficjalna cena – 2,5 mld ówczesnych zł. Konsultacje społeczne miały ustalić, co dokładnie znajdzie się we wnętrzach.

Plany były ambitne. Mówiono o osadzeniu w Pałacu Senatu, Urzędu Województwa Mazowieckiego, o przestrzeniach muzealnych. Mówiono o rewitalizacji Osi Saskiej, o otwarciu na mieszkańców i turystów. Mówiono. Tylko że przez cały okres rządów PiS na placu budowy działo się dokładnie tyle, ile musiało, by móc powiedzieć, że coś się dzieje. Spółka istniała, dokumenty się tworzyły, wykopy trwały – ale wszystko to bardziej przypominało pozorację niż rzeczywistą inwestycję.

Nowej ekipie PiS zostawiło zadaszone wykopki i mocno zaawansowaną strukturę spółki z obsadzonymi przez swoich stanowiskami.

Symboliczny koniec

Bartłomiej Sienkiewicz, którego Tusk postawił na czele resortu kultury, zastał pałac w stanie zamarcia. Zamiast jednak zrobić to, co oczywiste – zamknąć projekt i oszczędzić miliardy – postanowił go reanimować. Mówił o „zabliźnianiu rany", o „symbolice", o potrzebie uporządkowania przestrzeni wokół Grobu Nieznanego Żołnierza. Mówił to wszystko, wiedząc doskonale, że ten pałac nie ma nic wspólnego z dziedzictwem narodowym. Że jest reliktem rosyjskiej dominacji. Że jego rekonstrukcja jest drogim i bezsensownym przedsięwzięciem.

W marcu 2024 r. bronił projektu przed krytykami, ale nie potrafił wytłumaczyć, po co naprawdę miałby powstać. Powoływał się na ustawę – pisowską, jak by nie patrzeć – i przekonywał, że jej zapisów nie można ignorować. A przecież inne pisowskie ustawy naginał i przeinterpretowywał bez zmrużenia oka. Spółka odbudowująca więc pozostała. Zarząd się zmienił – pisowskich nominatów zastąpili sienkiewiczowscy. Nowe twarze i te same stołki.

W maju prawnuk noblisty odszedł z resortu. Zastąpiła go była dyrektor Zachęty Hanna Wróblewska i o pałacu było cicho. Gdy jednak i ona poleciała, to kolejna ministra, Marta Cienkowska, ogłosiła „symboliczny koniec odbudowy Polski po wojnie". Postawiła na wielkie słowa, wzniosłą retorykę, emocjonalne apelowanie do jedności narodowej. Zamiast decyzji – harmonogram. Zamiast budowy – obietnice.

Oficjalny aktualny plan przewiduje konsultacje. Mają się zakończyć w styczniu. Potem – planuje ministerstwo – będzie projekt. Potem pozwolenie na budowę. Potem wybór wykonawcy. I dopiero w 2027 r. – po wyborach – będzie wiadomo, kto wygrał przetarg. Prace mają ruszyć w 2028. Odbudowa zakończyć się w 2029. Oddanie do użytku – 2030.

Czyli przez pięć lat będziemy mówić, planować, konsultować, ale nie robić. Spółka Pałac Saski będzie dalej działać. Zarabiać. Nominaci w odbudowującej spółce będą pobierać pensje. Po kolejnych wyborach – jeśli ktoś się odważy – może nastąpi realny ruch. Ale najprawdopodobniej nie nastąpi nic.

Bo prawda jest taka, że nikt dziś tego pałacu nie chce.

Nie chcą go liberałowie, nie chcą lewicowcy, nie chcą ekonomiści. Chcą go tylko ci, którzy uznali, że rekonstrukcja carskiej architektury w centrum Warszawy to przejaw patriotyzmu. Projekt wciąż jest odgrzewany, bo rząd boi się ich gniewu.

I zapowiedzi Cienkowskiej genialnie wpisują się w pogoń za saskim króliczkiem.

Wszak w międzyczasie państwo polskie wydaje setki miliardów na zbrojenia, zapowiada kolejne podwyżki podatków. Tymczasem na rekonstrukcję imperialnego pałacu trzeba wydać, wedle dzisiejszych cenników, nie 2,5, ale już prawie 4,5 mld zł. Więcej, niż rząd chce wrzucić w mieszkalnictwo w przyszłym roku. I tylko po to, żeby zastanawiać się później, jakim instytucjom, które i tak mają gdzie mieszkać, zafundować niepotrzebną przeprowadzkę.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl b921f55bef

U stóp protektora

Pan prezydent podróżuje



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Na pierwszą swą zagraniczną podróż Karol Nawrocki wybrał spotkanie ze swoim amerykańskim protektorem – Donaldem Trumpem. O tej protekcji Trump mówił wyraźnie podczas wspólnej konferencji prasowej: jak oświadczył, poparł Nawrockiego w kampanii wyborczej, z czego jest dumny, ponieważ nie popiera byle kogo. Oczywiście poparcie Trumpa nie było wynikiem jego prywatnej sympatii, lecz rewanżem za wsparcie, jakie on sam otrzymał ze strony PiS, które wykazało się rewolucyjną czujnością – odróżnieniu od Platformy, która obstawiła Kamalę Harris.

American boys

W Polsce nikt nie uważa, że prezydent USA, popierając kandydata na prezydenta RP, ingeruje w wewnętrzne sprawy naszego kraju. Nawet Platforma Obywatelska, która mogłaby to wyciągnąć Nawrockiemu – ale tego nie zrobiła, aby, broń Boże, nie narazić się Wielkiemu Bratu. Łatwo sobie wyobrazić, co by było, gdyby to nie Trump, a Putin oficjalnie poparł kandydata w wyborach prezydenckich: z mediów popłynąłby ogłuszający wrzask, iż oto imperialna Rosja ma czelność suwerennej Polsce wyznaczać, kto ma być głową państwa.

Z kolei gdyby taki kandydat przegrał wybory – byłaby to okazja do radowania się nieudolnością „ruskiej propagandy" i patriotyzmem polskich wyborców.

Jako największy sukces Karola Nawrockiego podczas tej wizyty przedstawiana jest deklaracja Trumpa o pozostawieniu amerykańskich żołnierzy w Polsce. Warto jednak odnotować, że na dziennikarskie pytanie na ten temat Trump odpowiedział dość chybotliwie: najpierw usłyszeliśmy „chyba tak", a dopiero potem prezydent USA dodał, że nigdy nie myślał o wycofaniu żołnierzy z Polski, choć z innych krajów owszem. Trump wspomniał też o możliwości wysłania do Polski większej liczby amerykańskich wojaków – jeśli Polacy będą tego chcieli. Biorąc pod uwagę jednomyślność polskich elit politycznych, można być pewnym, że zechcą.

Przy tej okazji Karol Nawrocki ogłosił, że po raz pierwszy w historii Polski Polacy są zadowoleni z obecności zagranicznych żołnierzy. Jednak nie wszyscy – ja też jestem Polakiem i wcale mnie nie cieszą obce wojska na naszym terytorium. I nie jestem bynajmniej jedynym. Nawrocki stwierdził też, że amerykańscy żołnierze są częścią naszego społeczeństwa. Otóż nie: gdyby nią byli, podlegaliby polskiej – a nie, jak to ma obecnie miejsce, amerykańskiej – jurysdykcji. I to ich różni od innych przebywających w naszym kraju obcokrajowców.

Deklarację Trumpa co do wojsk USA w Polsce skomentował Donald Tusk: że to „ważne słowa", które potwierdzają „ponadczasowy charakter sojuszu". Kiedy słyszę o ponadczasowych sojuszach, przypomina się mi się czechosłowacki slogan z lat 50. ubiegłego wieku: „Ze Związkiem Radzieckim po wsze czasy". Co z tego wyszło, wiemy.

Stany mogą hołubić Polskę nie tylko ze względu na jej strategiczne położenie, lecz również dlatego, że

jesteśmy najbardziej proamerykańskim krajem w Europie – bez wyraźnych politycznych czy historycznych powodów. Tak się bowiem złożyło, że to nie amerykańskie, a radzieckie wojska wyzwoliły nas od hitlerowskiej okupacji.

Wspomnienia o wkładzie Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego w walkę o niepodległość Stanów Zjednoczonych są bardziej żywe w USA niż w Polsce, gdzie o tym mało kto pamięta. Z drugiej strony – Stany mogą w każdej chwili wycofać swoje wojska, jeśli dojdą do wniosku, że ich dalsza obecność jest nieopłacalna; wspomnijmy Afganistan. Jednak póki co *American boys* stacjonują w naszym kraju ku niekłamanej uciesze polskiej tzw. klasy politycznej.

Prymusi

Podczas wizyty w Waszyngtonie Nawrocki nie omieszkał pochwalić się tym, że Polska jest w czołówce NATO w zakresie wydatków na wojsko, co z kolei ucieszyło Trumpa, który i tak już o tym wiedział. Istotnie, 5 proc. PKB na cele militarne czyni z nas natowskich rekordzistów. Fakt, że przez to rośnie deficyt budżetowy i nie starcza pieniędzy choćby na ratowanie służby zdrowia, polityków mało obchodzi; ważne, by kultywować i umacniać strach przed wrażą putinowską Rosją.

Polska polityka w tym zakresie mieści się w europejskiej strategii militaryzacji. Jak donosi agencja Bloomberg, NATO w obawie przed Rosją chce pięciokrotnie zwiększyć wydatki na obronę powietrzną w Europie. Sekretarz generalny NATO twierdzi, że pakt musi być gotowy na pełnowymiarowy konflikt. Dodał też, że „jesteśmy zdani tylko na siebie" – co miało dotyczyć europejskich członków NATO. Warto zaznaczyć, że słowa te wypowiedział na trzy miesiące, zanim resort obrony USA poinformował swoich europejskich partnerów o tym, że w przyszłym roku amerykańskie wsparcie finansowe dla Europy zostanie zredukowane do zera. Co prawda dotyczy to programu szkolenia i przezbrojenia europejskich armii – jednak jest to, jak by nie było, poważny sygnał ze strony Waszyngtonu.

I niejedyny. Trump zapowiedział, że Stany Zjednoczone nie będą dawać Ukrainie broni. A jeśli Europejczycy – pomimo prowadzonych od nadzorem USA pokojowych negocjacji – nadal chcą Zełenskiego zbroić, to niech sobie kupują broń od Amerykanów. W tym kontekście nie dziwi to, że polscy politycy przebierają nogami, żeby wykazać się wobec Waszyngtonu większą służalczością niż inni sojusznicy.

G20

O ile amerykańskie deklaracje co do stacjonowania wojsk w Polsce nie są specjalną nowością – pewnym novum było zaproszenie przez Trumpa polskiego prezydenta do udziału w najbliższym posiedzeniu grupy G20, którego gospodarzem będą Stany. Szlaki przetarł minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. Tuż przed wizytą Nawrockiego spotkał się ze swoim amerykańskim odpowiednikiem Marco Rubio i zabiegał – jak sam mówił – o przyjęcie Polski do G20. Struktura ta nie posiada realnych mocy decyzyjnych i bardziej przypomina ekskluzywny klub wzajemnej adoracji. Obecność tam ma zatem głównie walor propagandowy dla władz danego kraju. Popatrzcie tylko, zostaliśmy przyjęci do grona najważniejszych krajów świata. Brawo!

Pretekstem do spotkania z amerykańskim sekretarzem stanu było wręczenie – przez Sikorskiego – Nagrody Solidarności im. Lecha Wałęsy kubańskiej opozycjonistce, Bercie Soler Fernandez. To, że nagrodę przyznano akurat Kubance, ma o tyle znaczenie, że sam Rubio jest potomkiem kubańskich emigrantów. Tym samym Berta Soler Fernandez nieświadomie posłużyła jako narzędzie polskiej polityki wobec Stanów Zjednoczonych.

Mercosur

W drodze powrotnej z Waszyngtonu polski prezydent zahaczył o Rzym, gdzie odbył rutynową audiencję u papieża, a przy okazji spotkał się z szefową włoskiego rządu Giorgią Meloni, próbując nakłonić ją głosowania przeciwko umowie z Mercosur – czyli porozumieniu między UE i blokiem państw Ameryki Południowej. Sam Nawrocki przyznał, że jego namowy nie dały rezultatu, bo Włochy mają stanowisko inne niż Polska – jednak nie omieszkał zaznaczyć, że jego włoska partnerka „wsłuchuje się w głos" takich państw jak Polska. Od wsłuchiwania się do ewentualnej akceptacji droga jest jednak daleka.

Polska jednoznacznie sprzeciwia się zawarciu takiej umowy – głównie z obawy przed południowoamerykańską konkurencją na rynku drobiu. Nasz kraj jest bowiem największym w UE producentem drobiu i jego czołowym eksporterem na unijne rynki; wg GUS w 2024 r. sprzedaliśmy drób za 3,3 mld euro. Przeciw umowie z Mercosur są zarówno prezydent, jak i premier, toteż hodowcy drobiu będą mieli dylemat, na kogo głosować w wyborach parlamentarnych. Istnieje możliwości, że po prostu nie pójdą do urn – skoro nowy rząd, obojętnie jaki, zadba o ich interesy, zamiast tracić czas w lokalu wyborczym, można będzie przeznaczyć go na dokarmianie kurcząt, kacząt i indyczą.

Negocjacje o umowie stowarzyszeniowej rozpoczęte z czterema państwami założycielskimi trwają już ponad 25 lat i zapewne nieprędko się zakończą. Gdyby do tego doszło, to oznaczałoby, że dla Unii ważniejszy jest dostęp do rynków Ameryki Południowej niż obawy polskich drobiarzy.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Operacja „Chaos"

Pax Trumpiana

Nie opadł jeszcze kurz prawicowego samozadowolenia po zapewnieniu prezydenta Nawrockiego przez Donalda Trumpa o niewycofaniu amerykańskiego kontyngentu z kraju nad Wisłą, a już chuj bombki strzelił. Zaledwie dzień później w mediach za Atlantykiem gruchnęło jak w starczym stawie, że USA nie będą finansować programów szkoleniowych ani wyposażenia armii w krajach Europy Wschodniej. Co prawda zapowiedzi nie objęły Polski, ale i tak nie ma się z czego cieszyć. Wiele wskazuje na to, że Stany Zjednoczone systematycznie zwijają sojuszniczy parasol ochronny znad Europy i idą do domu.

Remanent sojuszy

Plany Trumpa, że jego rozdęte ego uczyni USA liderem na arenie międzynarodowej, okazały się gówno warte, a kolejne manewry amerykańskiego wodza zdają się tylko potwierdzać ten smutny stan rzeczy.

Jak poinformował 4 września dziennik „Financial Times", europejscy dyplomaci zostali uświadomieni przez Pentagon, że Stany Zjednoczone zamierzają zakręcić kurek funduszy bezpieczeństwa dla państw europejskich, które znalazłyby się na pierwszej linii ewentualnego konfliktu z Rosją, w tym dla Rumunii, Litwy, Łotwy i Estonii. Wspomniane wydatki obejmujące programy szkoleniowe i wyposażenie armii w krajach Europy Wschodniej pochodzą z globalnego programu amerykańskiego ministerstwa obrony, które są zatwierdzane przez Kongres USA. Administracja Trumpa od momentu objęcia przez niego władzy nie wnioskowała o środki na ten cel, co zdaje się przesądzać sprawę. Zatwierdzone finansowanie będzie dostępne tylko do końca września 2026 r. Posunięcie USA ponoć miało na celu zachęcenie bogatszych krajów europejskich do płacenia za państwa znajdujące się na pierwszej linii frontu lub też – jak kto woli – w strefie wojennego zgniotu.

Na domiar złego – donosi dziennik – ważą się losy innego amerykańskiego programu, Bałtyckiej Inicjatywy Bezpieczeństwa. Od 2020 r. Kongres USA władował w program 288 mln dol., ale i w tym przypadku administracja miłościwie panującego nie ubiegała się o dalsze finansowanie projektu w przyszłym budżecie. Ponoć BIB jest ponownie oceniana przez przybocznych prezydenta – co wbrew pozorom nie napawa optymizmem.

Za przegląd tych i pozostałych inicjatyw obejmujących rozmieszczenie

Wygoda permanentnej inwigilacji

Tej jesieni Microsoft ma zamiar całkowicie zakończyć wsparcie dla nadal powszechnie używanego Windowsa 10. Jego użytkownicy będą musieli przesiąść się na kontrowersyjnego Windowsa z numerem 11 – lub też poszukać zupełnie innego systemu operacyjnego. Jest to więc dobry moment, aby zastanowić się nad problemem uzależnienia dużej części świata od produktów jednego molocha z Ameryki, ciągłej inwigilacji użytkowników – oraz nad ewentualnymi alternatywami wobec dziecka Microsoftu.

Wielki brat patrzy

Wszechobecna inwigilacja jest faktem. To, co najbardziej niepokoi – to fakt, że najwyraźniej wszyscy już się do tego przyzwyczailiśmy.

Korporacje oświadczają, że zbierane informacje to tylko metadane, które potem wykorzystywane są do bardziej efektywnego wciskania nam produktów w reklamach (tak jakby to miało być etyczne) – jednak informacje ujawnione przez Edwarda Snowdena wykazują, że dane te są też chętnie wykorzystywane przez służby. Jest też bardziej prozaiczne zagrożenie: zebrane o nas dane mogą zostać wykradzione lub sprzedane.

Ta kwestia pojawia w dyskusji wokół programu Microsoftu o nazwie Recall, który co jakiś czas fotografuje to, co mamy na ekranie, żeby poddać to analizie. Do programu Teams Microsoft dodał funkcję nagrywającą wideorozmowy – i bez wiedzy użytkowników ustawił ją jako domyślnie włączoną. Dane te następnie wędrowały na serwery Microsoftu, gdzie karmiono nimi CoPilota, czyli microsoftową sztuczną inteligencję. O sprawie zrobiło się głośno, gdy w Australii odkryto, że korporacja nagrywa uczniów bez ich wiedzy. Z informacji obdziera użytkowników też usługa „chmury" w najnowszym Windowsie, wyszukiwarka Bing czy usługa mailowa Outlook.

Użytkownicy, nie właściciele

Problemy z Microsoftem i innymi cyfrowymi gigantami wynikają z tego, że coraz rzadziej rzeczywiście jesteśmy właścicielami programów, które kupujemy. Powszechnie – często bez wiedzy konsumentów – sprzedawane są one nie jako produkty na własność, tylko jako usługi. Jest to obejście prawne pozwalające na ograniczanie użytkownikom możliwości dysponowania „swoim" programem.

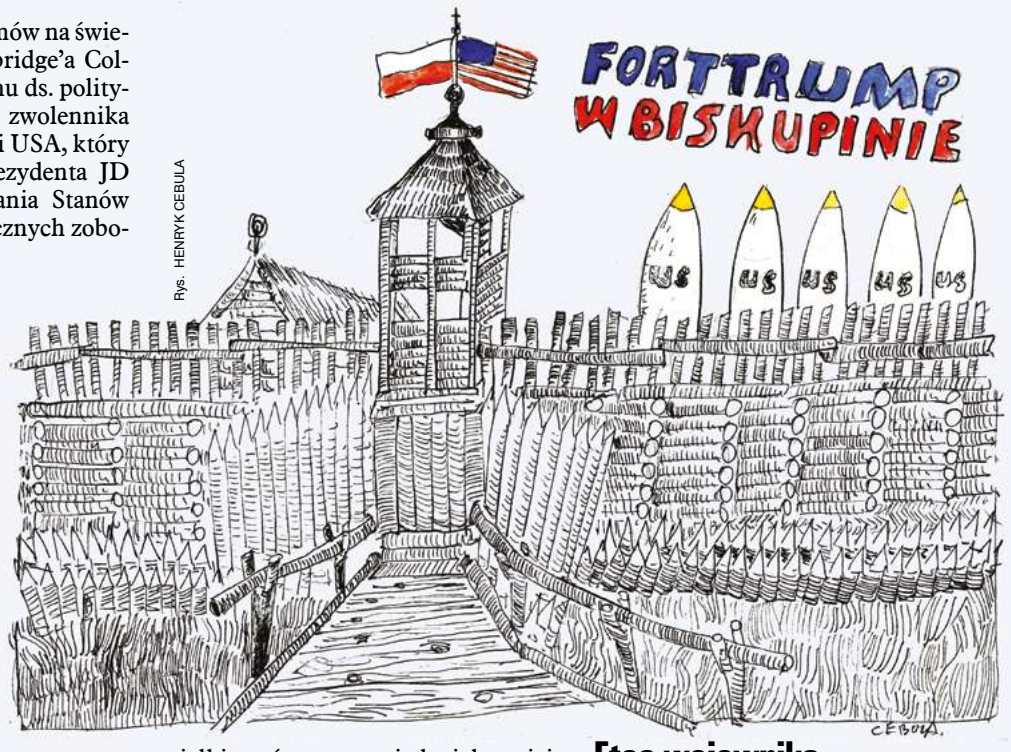
Taki stan rzeczy możliwy jest z kilku powodów. Prywatne firmy, będąc w pozycji choćby częściowego monopolu na powszechnie potrzebną usługę, pozwalają sobie na absolutnie bezwstydne i perfidne zagrywki. A obecnie na Windowsie operuje nieco ponad 70 proc. komputerów osobistych; będący na drugim miejscu Mac posiada tylko 16 proc. rynku.

Kolejny powód – raczej stricte techniczny – jest taki, że Windows to oprogramowanie zamknięte i własnościowe. Oznacza to, że kod Windowsa jest zamknięty i jako konsumenci nie mamy do niego dostępu. Nie wiemy, czy i co robi on bez naszej wiedzy, oraz mamy bardzo ograniczony wpływ na jego działanie. Jeśli Microsoft stwierdzi, że od teraz na twoim komputerze działać będzie wciśnięte na siłę AI – to tak się właśnie stanie.

Oczywiście Microsoft nie jest szczególnie oryginalny w tym, co robi. Działa on po prostu na domyślnej zasadzie kapitalizmu – generowaniu coraz większego zysku. A sama sprzedaż oprogramowania to dziś za mało, trzeba iść dalej. Rynek danych osobo-

eprasa.pl b921f55bef

amerykańskich sił i systemów na świecie odpowiada zespół Elbridge'a Colby'ego, podsekretarza stanu ds. polityki obronnej, zagorzałego zwolennika izolacjonistycznej polityki USA, który podziela poglądy wiceprezydenta JD Vance'a na temat wycofania Stanów Zjednoczonych z zagranicznych zobowiązań.



Rys. HENRYK CEBULA

Wojna na patyki

Naturalnie jakakolwiek próba weryfikacji planów Trumpa przypomina wróżenie z fusów, bo decyzyjność głowy amerykańskiego państwa w dużej mierze opiera się na tym, którą nogą wstał z łóżka. O ile w ogóle mu się to udało. Niemniej pierwsze jaskółki zmian nadleciały i zdążyły nasrać gdzie popadło.

5 września Donald Trump podpisał rozporządzenie wykonawcze, które zmieniło nazwę Departamentu Obrony na Departament Wojny.

Departament Obrony Stanów Zjednoczonych był nazywany Departamentem Wojny do 1949 r., kiedy to Kongres w następstwie II wojny światowej skonsolidował armię, marynarkę wojenną i siły powietrzne. Nowa nazwa podkreślała, że alianci II wojny światowej zjednoczą się celem przeciwstawiania się ofensywnym wojnom wszczynanym przez wielkie państwa przeciwko ich mniejszym sąsiadom – co nabrało szczególnych rumieńców w erze nuklearnej. Zmiana nazwy departamentu, choć wydaje się anegdotyczną pierdołą, całkiem poważnie wytycza nowe priorytety narodowej strategii obronnej.

Jak donoszą wiewiórki, projekt nowych planów obronnych, który trafił na biurko sekretarza obrony Pete'a Hegsetha, uważa misje krajowe i regionalne za ważniejsze od przeciwdziałania krajom takim jak Pekin czy Moskwa. Hegseth poparł zmianę i stwierdził, że jest częścią przywracania intencjonalności w użyciu siły. „Zamierzamy przejść do ofensywy, nie tylko się bronić. Maksymalna skuteczność, nie ostrożna legalność, gwałtowny efekt, nie polityczna poprawność. Zamierzamy wychowywać wojowników, nie tylko obrońców" – mówił amerykańskim mediom.

Trudno to nazywać czczym pieprzeniem, bo w wielu aspektach pewne zmiany już postępują.

Etos wojownika

Pentagon ustanowił zmilitaryzowaną strefę wzdłuż południowej granicy z Meksykiem, dzięki czemu wojskowi mogą zatrzymywać cywili, choć zwykle polowania na nielegalsów urządzały organy ścigania.

Jeszcze w sierpniu Donald Trump skierował na ulice Waszyngtonu i Los Angeles tysiące żołnierzy Gwardii Narodowej, uzasadniając to rzekomym wzrostem przestępczości i bezdomności w stolicy USA (mimo iż przestępczość w tym mieście była najniższa od 30 lat) oraz ochroną mienia po wybuchu protestów przeciwko operacjom służb imigracyjnych (ICE). Oczywiście obecność armii miała charakter czysto polityczny, a Trump zagroził umieszczeniem służb w innych miastach rządzonych przez demokratów…

Pentagon wysłał też liczne okręty wojenne i myśliwce F-35 na Karaiby, aby przeciwdziałać przemytowi narkotyków. 2 września w południowej części Morza Karaibskiego na wodach międzynarodowych w wyniku amerykańskiego ataku wojskowego zginęło 11 członków wenezuelskiego gangu Tren de Aragua, podejrzanych ponoć o przemyt prochów. Użycie wojska do odstrzelenia cywili to – jak by nie patrzeć – poważny krok. Jak doniósł „New York Times", oficjele Pentagonu pieczołowicie pracowali nad tym, jaką podstawę prawną podadzą opinii publicznej, żeby uzasadnić taki atak na wodach międzynarodowych.

Co ciekawe, „NYT" puścił farbę, że Trump podczas pierwszej kadencji na początku 2019 r. zatwierdził misję Navy SEALs mającą na celu umieszczenie urządzenia szpiegowskiego w Korei Północnej. Plan spalił na panewce, bo aktywność amerykańskich służb w pobliżu wybrzeża zwabiła cywilną łódź rybacką z kilkoma mężczyznami poławiającymi małże. Poławiacze zostali zneutralizowani przez gości z Ameryki, a członkowie ekspedycji chyżo porzucili misję i wrócili do bazy. Administracja miała nie powiadomić o wtopie ośmiu liderów Kongresu, którzy muszą być informowani o działaniach wywiadowczych.

Wszystko to do kupy wprowadza chaos i nie napawa oficerów optymizmem. Demokratyczna senator, weteranka i członkini senackiej komisji służb zbrojnych, Tammy Duckworth, powiedziała Reuterowi, że Trump woli wykorzystywać amerykańskie wojsko do zdobywania punktów politycznych niż do wzmacniania bezpieczeństwa narodowego. Nihil novi, od dawna wiadomo, że hasło „America First" znaczy ni mniej, ni więcej tylko „Trump First".

Owoce pracy zespołu Colby'ego Pentagon opublikuje w przyszłym miesiącu. Jego skutki poszczególne kraje sojusznicze odczują w różny sposób. Wszystkie natomiast wciąż będą zdane na kaprysy Trumpa, bez względu na ochłapy dyplomacji, którymi rzuca, kiedy ma lepszy dzień.

IDALIA DUBICKA

Wysiadka z Windy


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

wych to zaś świeży grunt, który może zostać podbity i zagospodarowany.

Czy istnieje alternatywa?

Takie mamy czasy, że bez komputera bardzo trudno się obejść, nie wspominając już o tym, że jakiś wypada mieć. A jeśli nie chcemy oddawać wszystkich naszych sekretów Microsoftowi, to alternatywy mamy właściwie dwie: Mac i Linux. Mac także jest produktem wielkiego korpo i posiada wszystkie grzechy Windowsa, więc skupmy się na nadal mało popularnej opcji, jaką jest Linux.

Czym jest Linux? W skrócie: to powszechne określenie na olbrzymi zbiór systemów operacyjnych opartych o to samo jądro. Co ciekawe, Linux jest wykorzystywany w zasadzie w większości urządzeń wymagających systemu operacyjnego na całym świecie. Wyjątkiem są jednak komputery osobiste, gdzie na system spod znaku pingwina decyduje się tylko około 4 proc. użytkowników.

Ma on to do siebie, że jego jądro – podstawa, na której stoi cały system – jest darmowe i „otwartoźródłowe", dzięki czemu każdy zainteresowany może obejrzeć jego kod i edytować go pod swoje potrzeby.

Było źle – czy jest dobrze?

Dawniej Linux miał reputację systemu wyłącznie dla informatyków. Była to reputacja jak najbardziej zasłużona – to nie był stabilny system, który by po prostu działał. Ponadto Linux dawał niewiele w zamian. Większość popularnych programów pod Linuxem nie chodziła, a ich linuxowe odpowiedniki nie nadawały się do profesjonalnej pracy. Kulała też rozrywka. Gry po prostu się nie uruchamiały, a odtwarzanie filmów i muzyki też potrafiło sprawiać problemy.

A jak to wygląda dziś? Pojawiło się wiele tzw. dystrybucji (czyli po prostu różnych systemów na jądrze Linuxa), które radzą sobie dużo lepiej. Są one bardziej stabilne i mają wokół siebie sporą społeczność, która wspólnie rozwiązuje problemy. Powstało też kilka systemów stworzonych specjalnie dla początkujących użytkowników, którzy dopiero chcą się przesiąść z Windowsa czy Maca.

Pod niektórymi względami Linux jest nawet wygodniejszy od Windowsa – jak już się do niego przyzwyczaić. Np. programy możemy instalować z darmowego sklepu z aplikacjami – tak jak na smartfonie. Do tego aktualizacje instalują się w tle, a większość popularnych Linuxów pozwala na dużo większą customizację niż Windows.

Niestety, pomimo plusów przesiadka z Windowsa nadal jest procesem uciążliwym, frustrującym, a nieraz niemożliwym. To już niekoniecznie wada samego systemu – ale wiele profesjonalnych programów nadal nie zadziała na Linuxie. Jeśli ktoś potrzebuje do pracy, np. pakietu Adobe – zmuszony jest pozostać na Windowsie. Podobny problem jest z podzespołami komputera i podłączonymi do niego urządzeniami, które też nie zawsze współgrają z Linuxem.

Inny kłopot – to sama społeczność fanów Linuxa, którzy często w niemal fanatyczny sposób chcą rozpowszechniać ten wolny i darmowy system. Nie rozumieją potrzeb i możliwości przeciętnych użytkowników komputerów. Kończy się to wciskaniem ludziom nadal wadliwego systemu jako kompletnie bezproblemowego. Po zderzeniu z rzeczywistością wiele osób odbija się i wraca na Windowsa.

Cyfrowa suwerenność

Warto na koniec wspomnieć też bardzo istotny wątek strategiczny.

Linux pozwala na uniezależnienie się od amerykańskich korpo nie tylko szarym użytkownikom, ale też administracji publicznej, samorządom, szkołom czy nawet wojsku. Używają go armia chińska, rosyjska, amerykańska, żandarmeria francuska

– i wiele innych instytucji, które przesiadły się na Linuxa dla bezpieczeństwa i niezależności.

Niepokorne państwa, takie jak Kuba czy Korea Północna, próbowały nawet całkowicie odciąć się od mainstreamu i operować głównie na własnych wersjach Linuxa, z różnym skutkiem. W podobnym kierunku próbują obecnie działać Chiny ze swoim Linuxem o nazwie Kylin. Do 2027 r. ma on stać się domyślnym systemem w chińskich przedsiębiorstwach państwowych.

Trwają też prace nad powstaniem systemu dla administracji Unii Europejskiej o nazwie EU OS. Póki co jest to zaledwie koncept, który autorzy próbują sprzedać unijnym biurokratom – ale kierunek jest rozsądny. Pytanie tylko, czy brukselscy oficjele mają w sobie dość pary, żeby postawić się amerykańskiemu lobby.

PIOTR STARCZEWSKI

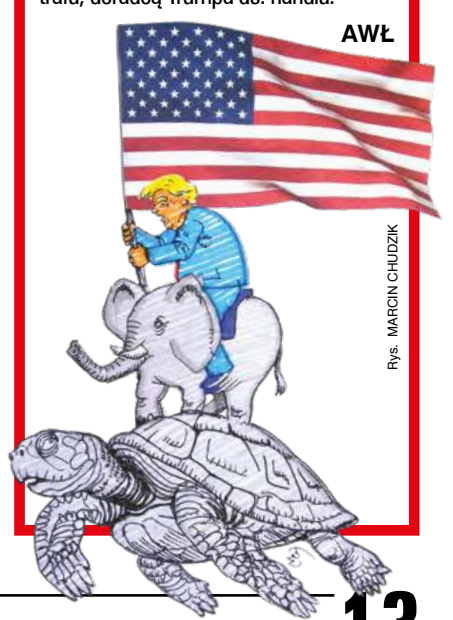
Trumpolandia

Bliski sojusznik USA na Bliskim Wschodzie, Izrael, zaatakował bliskiego sojusznika USA na Bliskim Wschodzie, Katar. Izrael twierdzi, że polował na przywódców Hamasu – dokładnie tych, którzy prowadzą negocjacje pokojowe z Izraelem, w których Katar pośredniczy – ale jak się okazuje, udało mu się zabić tylko syna jednego z nich oraz pięć przypadkowych osób, w tym katarskiego ochroniarza. Trump wydał oświadczenie: „Jednostronne bombardowanie Kataru, suwerennego państwa i bliskiego sojusznika Stanów Zjednoczonych, który bardzo ciężko i odważnie pracuje, wraz z nami podejmuje ryzyko, aby doprowadzić do pokoju, nie przyczynia się do realizacji celów Izraela ani Ameryki. Jednak wyeliminowanie Hamasu, który czerpie zyski z nędzy mieszkańców Strefy Gazy, jest godnym celem". Tak dla porządku: czy Przywódca Wolnego Świata uważa, że napaść demokratycznie wybranego rządu odpowiedzialnego za zbrodnie wojenne na autokratyczną monarchię opierającą się na imporcie niewolniczej siły roboczej jest zgodna z amerykańskimi wartościami, czy nie?

W odróżnieniu od drobiazgu, jakim jest bombardowanie stolicy obcego kraju, w sprawie afery Epsteina Trump ma zdanie jasno wyrobione: „Sprawa jest martwa". Dowodem na ostateczną śmierć sprawy jest ujawniony właśnie rysunek, publikowany we wszystkich mediach na świecie, z wyjątkiem Fox News. Rysunek pochodzi z „Księgi urodzinowej", którą zmarły sześć lat temu w więzieniu pedofil Jeffrey Epstein, skazany m.in. za zmuszanie nieletnich do prostytucji, dostał na pięćdziesiątkę od możnych tego świata w 2003 r. Na stronie 165. widnieje wyimaginowany dialog między postaciami przedstawionymi jako „Donald" i „Jeffrey". W dialogu „Donald" zwraca się do „Jeffreya" słowami „Pewne rzeczy nas łączą" oraz „Kumpel to wspaniała rzecz. Wszystkiego najlepszego i niech każdy dzień przynosi nową wspaniałą tajemnicę". Dialog ozdobiony jest rysunkiem zarysu kobiecego ciała, z krzaczastym podpisem „Donald" w miejscu owłosienia łonowego. Jak mówią Rosjanie: *kłas!*

Jon Stewart, gwiazda satyrycznego programu „The Daily Show" skomentował szalejącą po necie teorię spiskową, że Trump jest śmiertelnie chory, bo ma siniaka na dłoni: „Chodzi nie tylko o fizyczne symptomy. Ilekroć jego wielbiciele się z nim spotykają, brzmi to, jakby się żegnali"; członkowie jego gabinetu mówią mu, że „praca dla niego była największym zaszczytem ich życia", a dziennikarze Fox pytają, „jak chciałby być zapamiętany przez historię". „Cały nastrój wokół Trumpa przypomina podopiecznych fundacji »Make-A-Wish«" (to program pomagający śmiertelnie chorym dzieciom spełnić marzenia). „Każdy, kto pojawia się w jego biurze, próbuje spełnić jakieś z jego marzeń" – szef U.S. Marshals Service wręczył mu honorową odznakę służby, a szef FIFA Gianni Infantino dał do potrzymania puchar mistrza świata: „To tylko dla zwycięzców, a pan jest zwycięzcą, więc może go dotknąć". Okazuje się także, że Trump zasługuje nie tylko na pokojowego Nobla. Wywołując wojnę celną z całym światem, „prezydent Trump w zasadzie dał całemu światu lekcję ekonomii handlu, więc myślę, że zasługuje na Nobla z ekonomii" – ogłosił ostatnio Peter Navarro. Który jest, trzeba trafu, doradcą Trumpa ds. handlu.

AWŁ


Rys. MARCIN CHUDZIK

eprasa.pl b921f55bef

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Jak donoszą francuskie media, kilkanaście osób zwróciło się do tamtejszej Niezależnej Instancji Krajowej ds. Uznania i Zadośćuczynienia (INIRR) o rekompensatę w związku z nadużyciami seksualnymi ze strony polskiego duchownego. Sprawa ma związek z molestowaniem, jakiego w przeszłości, kiedy uczęszczali do polskiego seminarium w Paryżu, miał dopuścić się ks. Eugeniusz Plater-Syberg, bliski znajomy Jana Pawła II. Ksiądz kierował polskim seminarium duchownym w Paryżu od lat 60. aż do 1988 r., kiedy placówka została zamknięta. Duchowny przyznał się do winy. Według przewodniczącej INIRR należy wyjaśnić, czy seminarium i księża, którzy tam pracowali, podlegali francuskiemu Kościołowi. Instancja ta oferuje odszkodowanie w wysokości do 60 tys. euro na osobę.

✚ W Krakowie powstaje Spiżowa Gwardia Rezerwy Dzwonu Zygmunta. Pomysł powołania jednostki zrodził się po tym, jak Dzwon Zygmunta nie zabił z okazji zaprzysiężenia prezydenta Karola Nawrockiego. Polecenie uruchomienia dzwonu wydał abepe Marek Jędraszewski, przeciw wezwaniu metropolity zbuntowali się jednak niektórzy dzwonnicy. Inicjatorem utworzenia nowej formacji był bezpartyjny kandydat Komitetu Wyborczego Konfederacji Korony Polskiej do Senatu Gniewomir Rokosz-Kuczyński. Według kryteriów naboru do ekipy dzwonników dołączyć mogą praktykujący rzymscy katolicy z pozytywną pisemną opinią od swoich proboszczów. Członkowie grupy mają być zawsze gotowi do interwencji na wezwanie proboszcza katedry wawelskiej, który jest ich bezpośrednim zwierzchnikiem. Czego faceci nie zrobią, żeby wyrwać się z domu...

✚ W holu szczecińskiego Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 9 zawisł plakat wyjaśniający dzieciom i młodzieży, jak nie powinni ubierać się do szkoły. Zasady opracowała powiązana z ultrakatolickim Ordo Iuris Konfederacja Kobiet RP, dlatego zostały wyśrubowane jak w zakonie: zakaz eksponowania gołego brzucha, pomalowanych paznokci i makijażu przez uczennice oraz zakaz noszenia dresów i „porwanych" ubrań przez obie płcie. Szkoła zamieściła zdjęcie afiszu na swoim profilu w social mediach i opatrzyła go komentarzem „Frywolnym uczniom pedagog szkolny przypomina". Dyrekcji placówki o zasadzie zachowania neutralności przez szkołę publiczną przypomniał natomiast radny miejski z KO Przemysław Słowik. Po interwencji magistratu dyrekcja szkoły zasłoniła logo Konfederacji Kobiet RP na plakacie. Wspieranie kultury gwałtu w imię Pana to ponadczasowa moda.



Rys. WIDGET

✚ Na facebookowym profilu Szkoły Podstawowej i Liceum im. św. Tomasza z Akwinu działających w Józefowie pojawiło się nagranie autorstwa ks. Szymona Bańko poruszające tematykę przysięgi małżeńskiej. W materiale duchowny „nauczał" w sprawach dotyczących sfery seksualnej. Stwierdził, że po ślubie ani żona mężowi, ani mąż żonie „nie może odmówić współżycia bez poważnego powodu". Co więcej, odmowa współżycia to grzech o ciężkiej materii. Klecha przyznał, że istnieją ważne powody, by odmówić spółkowania, jednak zaliczają się do nich tylko te ekstremalne, jak choroba czy śmierć. Edukacja zdrowotna to demoralizacja, promowanie gwałtów małżeńskich prowadzi do zbawienia.

KLECHA

Wilk w wilczej skórze

Pedofil w czterech częściach

Marcial Maciel Degollado to jedna z najbardziej rozpoznawalnych postaci Kościoła kat. XX i początku XXI w. Choć jego liczne przestępstwa i zaburzenia były powszechnie znane i niewątpliwe, dożył on sędziwego wieku w niezłym zdrowiu i luksusie. Jego Legion Chrystusa dalej funkcjonuje, a niechlubne wątki z życia ojca założyciela są starannie gumkowane z oficjalnej historii zgromadzenia. Legioniści Chrystusa są nadal aktywni i wpływowi, mają nawet kardynała mianowanego przez papieża Franciszka. Działają także w Polsce, w – a jakże! – Krakowie, gdzie cieszą się dużą sympatią Jędraszewskiego, a wcześniej jeszcze większą Dziwisza. Sekretarz JP2 – wielkiego przyjaciela Marciala Maciela i Legionu – ma wobec nich osobisty dług; w końcu to oni zorganizowali mu uroczyste wystawne przyjęcie po święceniach biskupich w 1998 r.

– Drogi i czcigodny ojcze Marcialu Maciel, założycielu wielkiej rodziny Legionistów Chrystusa, jestem zaszczycony i głęboko wdzięczny za obecność ojca tutaj i bardzo dziękuję za serdeczne przyjęcie nas wszystkich – mówił wówczas wzruszony „Don Stanislao" w przytomności JP2.

Filmowy życiorys

Na HBO Max pojawił się czteroodcinkowy serial „Marcial Maciel: Wilk Boży" rekapitulujący historię tego drapieżnika w sutannie, któremu trudno dorównać w skali zepsucia – a przecież konkurencja w Kościele kat. jest spora. Maciel wyróżniał się bezczelnością i bezkarnością, dzięki psychopatycznym gierkom i pieniądzom oplótł sobie wokół palca możnych świata i Kościoła, co dawało mu niezbywalny immunitet. Szczególnie upodobał sobie zamożne wdowy, którym chętnie oferował pomoc duchową i seksualną, one zaś odwdzięczały się odziedziczonymi zasobami. Gdy sakiewka pustoszała, duchowny porzucał rozgoryczone ofiary, szukając kolejnych do oskubania. Część sponsorek skoszarował w Regnum Christi – świeckiej odnodze Legionu, gdzie pracowały za Bóg zapłać i niczym w porządnej piramidzie finansowej naganiały nowych leszczy do współtworzenia imperium.

Twórcy serialu śledzą życie Maciela niemalże od początku, w dzieciństwie doszukując się zalążków przyszłego psychopaty, gwałciciela i narkomana. Nie mógł sprostać wymaganiom ojca, meksykańskiego maczo, dość szybko postanowił więc uciec w sutannę – zwłaszcza że miał biskupów w rodzinie. To mu pomogło, bo młodzieniec ów był nad wyraz ambitny, w specyficzny sposób: jeszcze przed dwudziestką chciał założyć własny zakon. Dopiął swego w wieku lat 21: przy pomocy wujka biskupa założył Legion Chrystusa i został wyświęcony na księdza. Okazał się sprawnym organizatorem, pieniądze same pchały mu się w łapy. Masową zbiórkę zaczął od oszustwa: namówił znanego biznesmena, by w blasku fleszy przekazał mu czek na 50 tys. dol., po czym, już poza kamerami, czek zwrócił. Inni bogobojni przedsiębiorcy, zachęceni przykładem fałszywego darczyńcy, wpłacali naprawdę. Każdy, kto prowadzi publiczne zbiórki, wie, że ludzie wpłacają tylko tam, gdzie coś już jest wpłacone.


Ilustr. PAWEŁ FERENC

Chłopcy malowani

Dziełu potrzebni są ludzie. Marcial Maciel jeździł po kraju i niestrudzenie wyszukiwał młodych, ładnych i inteligentnych chłopców, którzy mieli mu sprawiać przyjemność i zapewnić kolejne lata dobrobytu Legionowi Chrystusa. W serialu znalazły się wypowiedzi kilku z nich.

Nie wszyscy skrzywdzeni opuścili zgromadzenie, część z ofiar zmieniła się w katów. Z raportu opublikowanego przez sam Legion w 2019 r. wynika że w latach 1941–2019 33 księży molestowało 175 osób, a 54 seminarzystów wykorzystało 90 młodszych kolegów. Ofiary krytykowały raport, uznając go za niepełny.

Maciel stworzył szczelny system, dzięki któremu przestępstwa długo nie wypływały na zewnątrz: kazał Legionistom składać czwarty – obok ubóstwa, czystości i posłuszeństwa – ślub zakonny, zakazujący krytyki przełożonych i donoszenia na nich. W przeciwieństwie do trzech tradycyjnych ślubów, ten czwarty był skutecznie egzekwowany.

Sam Maciel nagminnie i z lubością łamał śluby i przykazania. Jednego życia było mu za mało: zmieniał tożsamości, przedstawiał się kolejnym kochankom to jako agent CIA, to znowuż profesor pedagogiki lub pracownik amerykańskiej firmy. Zakładał kolejne rodziny, płodził i przysposabiał dzieci, które – co jest wyczynem nawet jak na klechę – także molestował. W serialu wykorzystano wypowiedzi skrzywdzonych synów Maciela, zarejestrowane przez CNN. Resztki sumienia, o ile je miał, Degollado zagłuszał morfiną i jej pochodnymi, które wstrzykiwał sobie w hurtowych ilościach. Na pewno nie był wierzący: nawet na łożu śmierci odmówił spowiedzi. Hasał po świecie przez kilkadziesiąt lat, na co przypadły pontyfikaty kilku papieży.

Największe zastrzeżenia miał do niego Pius XII, „papież Hitlera", który nieco stopował jego działalność. Po śmierci Piusa XII Degollado znowu się rozhulał, a największego protektora miał w osobie Jana Pawła II.

Postać JP2 pojawia się w serialu często, w jednoznacznie niepochlebnym kontekście. Maciel i Wojtyła od razu po wyborze tego drugiego złapali fantastyczny kontakt. Założyciel Legionu Chrystusa zorganizował papie pielgrzymkę do Meksyku, rządzonego wówczas przez ludzi nieprzychylnych Kościołowi. JP2 docenił ten talent, udowadniany kolejnymi ofiarami pieniężnymi na zbożne cele. Wojtyła miał w Meksykaninie światopoglądowego i politycznego sprzymierzeńca: jego ultrakonserwatywny Legion walczył w lewicującą teologią wyzwolenia, która pleniła się Ameryce Łacińskiej. Dziś wiadomo, że spore sumy od Maciela i jego kompanów zasiliły konta Solidarności, szczególnie leżącej papie na serduszku. Mieli z czego pomagać; w czasie śmierci założyciela w 2008 r. Legion obracał ok. 600 mln dol. rocznie.

Serial „Marcial Maciel: Wilk Boży" odkrywczy nie jest, ale zawsze warto sobie przypomnieć, jak skurwiała jest instytucja, którą reprezentował i której przywódcy przymykali oczy na jego wyczyny.

MATT KOBOSKO

Ulga wiary

Pozapodatkowe ciała astralne

O Kościele Starokatolickim nie słyszał nikt, z wyjątkiem 2,5 tys. wyznawców i paru urzędników. Do czasu, jak wspólnota strzeliła sobie w kolano, i to tak głośno, że sprawą zainteresowały się zarówno media, jak i prokuratura. Okazało się, że przeznaczona dla potrzebujących żywność pozyskana przez starokatolików z unijnych oraz krajowych dotacji trafiała na sprzedaż – w kraju i daleko poza jego granicami.

Dobra nowina na półkach

„Proceder trwał co najmniej od maja 2024 r. do lipca 2025 r. i podejrzani mogli zarobić ponad 18 mln zł" – podają śledczy. Sześć osób – w tym duchowny, ojciec Jacek B., lider Zakonu Kalatrawy – zostało zatrzymanych przez Prokuraturę Europejską i policję z Katowic. Przedstawiciele Kościoła przekonywali oczywiście, że – jak łkał biskup Waldemar Maj – „chcieliśmy zrobić coś dobrego, szerzyć dobrą nowinę", lecz „źli ludzie wykorzystali luki w prawie" i ich wspólnocie wyrządzono krzywdę.

Polegającą na tym, że żywność oznaczona logo Kościoła, z napisem po polsku, że „produkt nie jest przeznaczony do sprzedaży" – znalazła się na półkach sklepów i hurtowni: polskich, słowackich, a nawet gambijskich. Urzędników pomocy społecznej, którzy usiłowali kogoś aferą zainteresować już w połowie 2023 r., nikt poważnie nie brał.

Ba,

urzędniczka ministerialna pisała list: „Kościół Starokatolicki jest podmiotem godnym zaufania" – i zaapelowała o zaprzestanie „dyskryminacji religijnej" i o budowanie „dobrych relacji" z tą organizacją.

Sprawa ruszyła, gdy Polska dołączyła do Prokuratury Europejskiej w marcu 2024 r. Po roku odbyły się zatrzymania, wnioski o areszty, potężny materiał śledczy. I materiały w mediach opisujące choćby, jak ojciec Jacek B. – człowiek, który niegdyś chciał przejąć słynną sopocką „Zatokę Sztuki" – tworzył podszywającą się pod ONZ organizację, która miała współpracować z całkowicie nieistniejącą afrykańsko-bengalską księżniczką Nadią Harihiri.

W aferze starokatolickiej mamy wszystko: wzbudzanie zaufania, manipulację, formalne błędy i wielomilionowe straty. I pytanie, które boją się zadać wszyscy – co robił ten mikro Kościół w programie Fundusze Europejskie na Pomoc Żywnościową? I dlaczego trzeba było dopiero Prokuratury Europejskiej i mediów, by ujawnić to, co wielu od dawna wiedziało?

Wiara zwalnia z opłat

Odpowiedź na to ostatnie jest prosta. Bo państwo uwielbia utrzymywać figowy listek w postaci małych wspólnot religijnych, żeby udowadniać światu, że w Polsce religijność to nie dominacja katolicyzmu. I choć 27 mln Polaków deklaruje przynależność do Kościoła rzymskokatolickiego – ma on konkurencję w postaci ponad 200 zarejestrowanych wyznań i związków. 15 z nich funkcjonuje na podstawie odrębnych ustaw – od prawosławia poprzez różne odmiany protestantyzmu, muzułmanów i żydów aż po starokatolików. Ten status legislacyjny zapewnia przywileje: zwolnienia podatkowe, ulgi w podatku od nieruchomości, ulgi w cłach na darowizny i na działalność edukacyjną, charytatywną i kulturalną.

Większość wspólnot wpisano do rejestru MSWiA na wniosek poparty przez minimum 100 wiernych. Prawo gwarantuje wolność kultu także tym, którzy się nie zarejestrowali – ale formalna obecność w oficjalnym spisie przynosi realne korzyści.

Obok wielkich globalnych wspólnot – jak ewangelicy, prawosławni czy żydzi – istnieją u nas takie twory wyznaniowo-prawne jak: Związek Buddyjski „Kanzeon" zen z setką wyznawców, czy Kościół Zjednoczeniowy (moonizm) posiadający 260 wiernych. Ostatnia dekada to eksplozja religijności – 18 nowych rejestracji, z czego 11 chrześcijańskich, cztery buddyjskie i trzy wieloeklezjalne czy neopogańskie. Nowe organizacje, jak Reformowany Kościół Katolicki, Narodowy Kościół Katolicki, Kościół Naturalny, „Obóz Boży" – ruch przebudzeniowy z chrztem zanurzeniowym i powszechnym kapłaństwem, korzystają z religijnych przywilejów.

Czarne owce

Choć niekatolicy zasadniczo przestrzegają prawa, ich ewentualne wtopy bywają mocno rozdmuchane. Wystarczy jedna afera żywnościowa i nagle okazuje się, że ramy wolności religijnej są skomplikowane, a przywileje – podatkowe, finansowe – wodzą na pokuszenie. Kościół Starokatolicki pokazał, jak drobna wspólnota może wpaść w europejski skandal. Dlatego większość pozostaje w cieniu, balansując na dających im przywileje finansowe przepisach.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Takich, jakich nie mają inne formy organizowania się ludzi – jak choćby stowarzyszenia. I może byłby najwyższy czas sprowadzić wszystkie formy zorganizowanej wspólnotowości do wspólnego mianownika. Bo co to za różnica, że jedni dążą do dobrostanu zwierząt, inni do zakazu aborcji, a jeszcze inni do zawierzenia czego się da jakiemuś nader nienaturalnemu bytowi. Dlaczego ma być tak, że jedne idee dają ulgi podatkowe, a inne niekoniecznie?

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl b921f55bef

Są ludzie, którym warto pomagać, choćby wbrew własnym przekonaniom.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Formuła 1 na mokro

Rok temu w wieku 82 lat zmarł Waldemar Marszałek, jeden z najwybitniejszych polskich sportowców, nieco dziś zapomniany. Był czas, gdy poznawano go na ulicy, proszono o autograf, był kimś w rodzaju celebryty, choć wówczas jeszcze nie znano tego słowa.

Galeria sławy

Nie przypomnę sobie teraz, w którym roku poznałem Waldemara Marszałka. Pracowałem wówczas w dziale sportowym „Trybuny Ludu". W gazecie mieliśmy rubrykę zatytułowaną „Z wizytą w redakcji". Jej pomysłodawcą był wieloletni i powiedzieć można – choć nie lubię tego sformułowania – legendarny kierownik działu Włodzimierz Gołębiewski.

Znani sportowcy byli zapraszani do redakcji, udzielali wywiadów, fotoreporter robił bohaterowi tekstu zdjęcie, które następnie powiększano, oprawiano w ramkę i wieszano na ścianie obok innych, wykonanych wcześniej, fotografii. W ten sposób ścienna galeria stale się powiększała, a na jej tle pozowali kolejni zaproszeni goście.

Gdy przechodziłem z „Przeglądu Sportowego" do działu sportowego „Trybuny Ludu", Włodzimierz Gołębiewski przeszedł właśnie na emeryturę. Galeria sławy na ścianie redakcyjnego pokoju była więc już naprawdę spora, a na fotografiach widniały twarze prawdziwych gwiazd. Nie wiem dlaczego, ale na autora rubryki, który kontynuować miał zbożne dzieło zapoczątkowane przez red. Włodzimierza Gołębiewskiego, wybrano właśnie mnie. Podobno decydował mój talent do przeprowadzania wywiadów. Cholera wie, czy tak było, zawsze starałem się pracować najlepiej, jak umiałem, w każdym razie dane mi było porozmawiać z naprawdę wybitnymi i ciekawymi ludźmi. Wierszówka także miała znaczenie – bo za zapełnienie wspomnianej rubryki dobrze płacili.

Nie wszystkie rozmowy pamiętam, ale tej z Waldemarem Marszałkiem na pewno nie zapomnę. Odwiedził nas opromieniony sławą mistrza świata i Europy w wyścigach motorowodnych. Spodziewałem się kogoś rosłego, pewnego siebie, może nawet trochę zarozumiałego i bezczelnego. Tymczasem przyszedł gość niewysoki, skromny, cicho i spokojnie odpowiadający na pytania. Trudno było uwierzyć, że ktoś taki śmiga po wodzie ślizgaczem z prędkością 200 km/h. Kurde, przecież zderzenie z wodą przy takiej prędkości to jak uderzenie w betonową ścianę.

Może być różnie...

Oczywiście nim przystąpiłem do zadawania pytań, zbierałem wszystkie możliwe informacje o gościu. Nie było to takie proste jak dziś: internet nie istniał, były tylko prasowe wycinki w redakcyjnym archiwum i koledzy, którzy mieli większe pojęcie o sporcie motorowodnym ode mnie. Przed rozpoczęciem rozmowy ułożyłem w głowie plan. Wiedziałem, że mój gość przeżył wiele niebezpiecznych wypadków, z których wyszedł pokiereszowany, ale żywy.

Na pewno musieliśmy rozmawiać przed 1982 r. – bo wówczas, podczas zawodów pod Berlinem, na jeziorze Gatow, zdarzył się wypadek, po którym Waldemar Marszałek popadł w stan śmierci klinicznej. Fala podbiła jego ślizgacz w powietrze i uderzył w taflę wody z olbrzymią prędkością. Pływał później po powierzchni twarzą w dół i zanim go wyciągnięto, ustały wszystkie czynności życiowe. Na szczęście długa reanimacja się powiodła.

Na pewno pytałbym o to mojego rozmówcę, bo byłbym ciekaw, czy rzeczywiście ktoś w śmierci klinicznej widzi jakiś tunel, jasne światło na jego końcu i niewyraźną sylwetkę człowieka. Osoby religijne uważały to za dowód na istnienie Jezusa Chrystusa. Zapewne nie mógłbym tego podać do druku, bo „Trybuna Ludu", dla której wówczas pisałem, twardo trzymała się pryncypiów materializmu dialektycznego, niezakładającego istnienia w zaświatach urodzonego w Betlejem mesjasza. No, ale tak dla siebie na pewno bym zapytał, a odpowiedź pamiętał do dziś i opowiedział o tym rodzinie oraz znajomym. Nie omieszkałbym teraz poinformować Czytelników „NIE", bo choć nasza gazeta także stąpa po twardym materialistycznym gruncie, cenzury w niej nie ma.

O ryzyku oczywiście rozmawialiśmy. Waldemar Marszałek mówił, że jest go świadomy, ale skok adrenaliny powoduje to, co przyciąga go do sportu motorowodnego. „Oczywiście samobójcą nie jestem" – pamiętam te jego słowa – „choć stając na starcie, zdaję sobie sprawę, że może być różnie".

27 medali i przebite płuco

Gdy motorowodniak kończył karierę, miał na koncie 6 tytułów mistrza świata oraz 27 medali mistrzostw globu i Europy. A także, oprócz wspomnianej śmierci klinicznej, przebite żebrami płuco, zdruzgotane biodro, przecięte ścięgno w nodze, złamaną kość udową, uszkodzony nerw wzrokowy i urwaną piętę. Później wziął się za politykę, co jest zajęciem równie stresującym jak udział w zawodach motorowodnych, ale przynajmniej nie grozi urwaniem żadnej części ciała. Widocznie Waldemar Marszałek żyć bez adrenaliny nie umiał.

Z naszej rozmowy w „Trybunie Ludu" pamiętam jeszcze opowieści sportowca o problemach ze sprzętem. Wyglądało na to, że bardziej martwił się nimi niż ryzykiem uderzenia podczas wyścigu w wodę – a przypomnę raz jeszcze, że przy takich prędkościach zamienia się ona w skałę i w niczym nie przypomina miłych strumyków spływających po ramionach pod prysznicem.

To były czasy świata podzielonego na dwa obozy, przy czym ten, w którym my żyliśmy, charakteryzował się sprawiedliwością społeczną, ale totalnym zacofaniem w sferze technicznej. Dobry silnik można było mieć tylko za dewizy, a tych władza ludowa skąpiła sportowcom uprawiającym sporty motorowe. Marszałek, podobnie jak żużlowcy, nie mówiąc już o rajdowcach, musiał kombinować, łączyć żyłkę handlowca wymieniającego na Zachodzie kryształy na elementy silnika, z zamiłowaniem do majsterkowania w warsztacie. Ale dawał radę.

Jednym z eksponatów w stołecznym Muzeum Sportu i Turystyki jest łódka Waldemara Marszałka z nr 11, bo zawsze startował z tym numerem. Starszym kibicom, którzy ją zobaczą, mocniej zabije serce, bo przypomną sobie wyścigi ślizgaczy oglądane choćby z brzegu Wisły. Dobrze było mieć ze sobą lornetkę, bo wszystko odbywało się daleko od brzegu, ale szybkość łódek i fontannę wody tryskającą z silnika widać było nawet bez przyrządów optycznych. Słychać też było ryk silników. Robiło wrażenie. Wiem, bo oglądałem wyścigi, jeszcze zanim zostałem dziennikarzem sportowym; mieszkaliśmy z rodzicami na Powiślu.

Dwie sekundy do setki

W ślady mistrza poszli jego dwaj synowie – Bernard i Bartłomiej. W 2002 r. w Żninie Bernard zdobył tytuł mistrza świata i znalazł się w dziesiątce najlepszych w plebiscycie „Przeglądu Sportowego". Rok później, podczas obrony tytułu w okolicach słynnego czeskiego Podolský'ego Mostu na Wełtawie, uległ poważnemu wypadkowi, w którym uszkodził kręgosłup. Okazało się, że Polski Związek Motorowodny nie ubezpieczył zawodnika, a leczenie było tak kosztowne, że wpędziło w problemy finansowe całą rodzinę.

Po prawie trzyletniej rehabilitacji wrócił do sportu. Silnik do łódki podarował mu ówczesny prezydent Warszawy Lech Kaczyński. Chyba nie płacił z własnej kieszeni, lecz z kasy stołecznego grodu, ale gest ładny, a silnik z tych najnowocześniejszych. Bernard nie miał już jednak okazji startowania w mistrzostwach świata. Zmarł w 2007 r. w wieku zaledwie 32 lat na atak astmy, na którą cierpiał od dzieciństwa.

Na motorowodnym torze został Bartłomiej. Telewizja nie przeprowadza relacji z zawodów motorowodnych, przynajmniej ja się z takimi nie spotkałem. Jeśli ktoś śledzi fachowo robiony „Sportowy Wieczór" w TVP Sport, nieraz musiał usłyszeć o startach Polaka w motorowodnej Formule 1 – zawodach, które zaczęto przeprowadzać od 1981 r. na wzór słynnych wyścigów samochodowych. Na wodzie ścigają się nie motorówki, ale prawdziwe bolidy z zabudowaną kabiną, wyposażone w diabelski silnik. Łodzie F1H2O – bo tak określa się fachowo te zawody – napędzane są jednostką Mercury Racing o pojemności 2,5 litra, umożliwiającą osiągnięcie setki po 2 sek. Motor spala 120 litrów paliwa na godzinę i pozwala łodzi mknąć po tafli wody z prędkością 240 km/h. Podobnie jak w wyścigach – nazwijmy je – normalnych ścigaczy wszystko polega na dostosowaniu szybkości wchodzenia w łuki do siły odśrodkowej. Wejdziesz za szybko – wypadek. Za wolno – przegrasz.

Malwinka

Bartłomiej Marszałek startuje na łodzi w barwach Orlenu i już zapisał się w historii naszego sportu jako pierwszy Polak w F1H2O. Natomiast na ścigaczu wywalczył wicemistrzostwo świata w klasie O-350. Teraz nie może się jednak skupiać na karierze sportowej. Krótko po urodzinach córki Malwiny okazało się, że choruje ona na rzadką genetyczną chorobę Retta. Nawiasem mówiąc, diagnozę postawili sami rodzice, po przeprowadzeniu badań genetycznych. Pediatrzy mówili, że jej przejdzie, że jak zaczną się kontakty z rówieśnikami, skończy zamykanie się w sobie…

Choroba, na która zapadają niemal wyłącznie dziewczynki, przejawia się stopniową utratą czynność życiowych: dziecko przestaje mówić, chodzić, ruszać się, nawiązywać kontakty. Dlatego dziewczynki nią dotknięte nazywa się potocznie milczącymi aniołami.

Podobnie jak w innych neurologicznych chorobach genetycznych, całkowite wyleczenie nie jest realne. Można jednak zatrzymać postępy choroby. Terapia jest niezwykle kosztowna. Liczy się ją w milionach i to nie złotych, lecz dolarów, bo Bartłomiej i jego żona zdecydowali się na jedyne dające nadzieję leczenie w USA. Lek o nazwie Daybue nie jest dostępny w Europie. Kuracja nim kosztuje 11 mln zł rocznie.

W internecie ogłoszono zbiórkę, która początkowo szła dość żwawo, później dostała zadyszki. Bartłomiej z żoną sprzedali wszystko, co mieli: samochód, działkę, dom, także łódkę, o której motorowodniak marzył przez 20 lat.

Zajrzyjcie, proszę, na stronę siepomaga.pl. Na ratowanie Malwinki zebrano ponad 6,3 mln zł, a to nie jest jeszcze nawet połowa potrzebnej kwoty. Akcję wsparło blisko 100 tys. osób, ja też, choć przeważnie mam obiekcje przed wspieraniem takich przedsięwzięć.

Zawsze wydaje mi się, że po to wszyscy płacimy podatki, żeby państwo troszczyło się o nas i o nasze dzieci. Tu sytuacja jest trochę inna. Choroba należy do niezwykle rzadkich, jeden przypadek pojawia się na 10 tys. urodzeń. Dotknęła rodzinę, która dała mnóstwo radości kibicom i która wiele wycierpiała. Warto pomóc.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 10.09.2025 r.

eprasa.pl b921f55bef

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Na historycznym już posiedzeniu Trybunału Stanu mecenas Andrzejewski zechciał był zawołać: „Ma być kultura na tej sali, do cholery!”.

A przecież mógł użyć ostrzejszych słów uchodzących za obelżywe. Na przykład:

– Chuj wam w dupę na tej sali!

– Kurwa wasza pierdolona mać!

– Jebać was! Tylko nie jebać PiS-u i Konfederacji!

Andrzejewski zażądał: „Proszę zamilknąć!”.

A mógł zażądać:

– Zamknąć ryje, skurwysyny!

– Nie wkurwiajcie mnie, matkojebcy!

Lub w obcych językach:

– *Vaffanculo!*

– *Shut the fuck up!*

– *Halt die Klappe!*

– *Allez vous faire foutre!*

Faktyczna groźba Andrzejewskiego: „Będziecie odpowiadać dyscyplinarnie!”.

Jego potencjalne groźby:

– Zapierdolę was!

– Zajebię!

– Podpierdolę was, żeby Manowska mnie nie zapierdoliła, motyla noga!

Andrzejewski walił pięścią w stół.

A mógł:

– Walić siekierą; ostrzem.

– Walić siekierą; obuchem.

– Walić kilofem.

– Walić gruchę.

Andrzejewski popchnął fotel, na którym siedział dr Marcin Radwan-Röhrenschef.

Chociaż mógł przecież dr. Radwana-Röhrenschefa:

– Uderzyć kastetem.

– Pociąć nożem sprężynowym.

– Zmasakrować kijem bejsbolowym.

Ostatecznie Andrzejewski opuścił posiedzenie Trybunału Stanu.

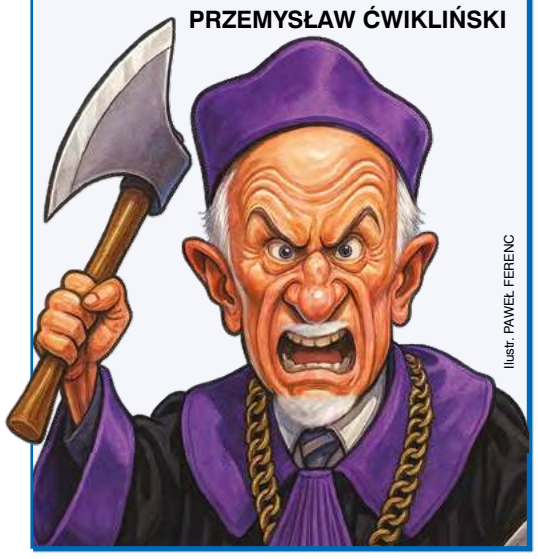
A powinien:

– Podać się do dymisji, ustąpić, usunąć się w cień.

– Zniknąć, rozpłynąć się w powietrzu, zginąć bez śladu, zdematerializować się.

– Sczeznąć, zginąć i przepaść.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN drwi z listu episkopatu w sprawie religii w szkołach. **AGNIESZCE WOŁK-ŁANIEWSKIEJ** zbiera się na litość.

Senyszyn: – Mam chyba tylko jedno wyjście – zaopatrzyć się w szmaty i pozatykać nimi wszystkie szpary w ścianach…

Wołk-Łaniewska: – To może wyjaśnijmy od razu – żeby Czytelnicy sobie nie pomyśleli, że mnie od szmat wyzywasz – że cytujesz Bułhakowa.

– A tak konkretnie to Wolanda, który w ten sposób chciał obronić Małgorzatę przed miłosierdziem…

– Które „najzupełniej nieoczekiwanie i zdradliwie wciska się w najmniejsze szczeliny”.

– Na przykład w wołczym mózgu. Naprawdę ci żal episkopatu? A może katechetów, którzy od 35 lat piorą mózgi dzieciom i młodzieży?

– Jak tak stawiasz sprawę, to oczywiście nie. Ale myślę sobie że to musi być okropne uczucie: przez 35 lat ci wszystko wolno, każda władza, niezależnie od autoramentu, uważa, że słońce ci z dupy świeci, i nagle wywalają cię z lektyki prosto w błoto…



– A czytałaś ten list episkopatu?

– Owszem, i zgadzam się z tobą, że jest w sumie dość zabawny. Właśnie przez tę swoją żałośliwą nieporadność. Słuchaj: „Podsumowaniem naszych rozważań niech będą słowa papieża Leona XIV: »Również dzisiaj nie brakuje kontekstów, w których wiara chrześcijańska jest uważana za coś absurdalnego, przeznaczonego dla osób słabych i mało inteligentnych. Są to środowiska, w których człowiek wierzący jest wyśmiewany, prześladowany, pogardzany lub co najwyżej tolerowany i traktowany z litością«. Można by zapytać, czy takim środowiskiem, gdzie lekcje religii traktowane są z lekceważeniem i są co najwyżej tolerowane, nie staje się dziś polska szkoła”…

– Ależ staje się. Nareszcie. Najwyższa pora.

– No właśnie to mnie rozczula. Ze Bob z Chicago zauważył to, co w zachodniej Europie jest oczywiste od dekad – że promowane przez niego gusła są dla słabych i mało inteligentnych – a Kościół kat. w Polsce nie rozumie, że zdawanie tego pytania jest wysoce ryzykowne, bo odpowiedź będzie pozytywna.

– Mnie najbardziej rozbawił ten fragment listu biskupów, gdzie twierdzą oni, że wobec „nasilających się problemów emocjonalnych i psychicznych” wśród dzieci i młodzieży religia w szkole ma „wymiar wychowawczy, terapeutyczny i prewencyjny, wspomaga rozwój emocjonalny i duchowy uczniów”. Wymiar terapeutyczny szczególnie doceniają młodzi ludzie, którzy odkrywają swoją homoseksualność, a potem słyszą od biskupa z Krakowa, że są tęczową zarazą, co chodzi po naszej świętej ziemi.

– Ale w jednej sprawie idzie się zgodzić z episkopatem: że tym, którzy nie chodzą na religię, należy zapewnić etykę. To jest kamyczek do naszego ogródka: ruchów ateistycznych, organizacji humanistycznych, ale przede wszystkim progresywnych środowisk akademickich…

– No, wiedziałam, że będziesz się mnie czepiać.

– A będę. Bo co zrobiłaś przez 35 lat, jako wybitna profesorzyca, żeby stworzyć system szkolenia nauczycieli etyki?

– Na wydziale zarządzania, przyznaję, niewiele. Ale ćwierć wieku temu zablokowałam klerykalizację Uniwersytetu Gdańskiego. Wyobraź sobie, że rektor Pliński umyślił sobie, że przejdzie do historii, tworząc wydział teologiczny. Miał to być prezent dla ówczesnego metropolity gdańskiego Gocłowskiego, który już się widział w roli Wielkiego Kanclerza tegoż wydziału. A tu dziekanica Senyszyn tak namieszała, że w uczelnianym Senacie zabrakło głosów poparcia. Nie było łatwo. Nawet ci profesorowie, którzy byli przeciw, bali się jawnie to zademonstrować, bo Gocłowski to wtedy na Pomorzu była szycha. Wszyscy się do niego łasili. Ale zażądałam głosowania tajnego i wiekopomny pomysł padł. Abp Gocłowski, komentując to podczas najbliższego kazania, powiedział, że dopuszczono do manipulacji, bo przecież w tajnym głosowaniu człowiek nie może wyrazić prawdziwej opinii.

– Ależ on ma absolutną rację. Bo jak głosujesz tajnie, to anioł stróż ci patrzy przez ramię i donosi do Bozi, jak coś jest nie tego. A jak jawnie, to Bozia sama patrzy, ale może nie zauważyć, zwłaszcza jak dużo ludzi głosuje…

– No powiem ci szczerze, że taka interpretacja nie wpadła mi do głowy.

– Ależ to oczywiste, że anioł stróż jest donosicielem. Dlaczego nazywa się „stróż”, a nie na przykład „anioł przyjaciel”? Albo „anioł opiekun”? Wracając do Uniwersytetu Gdańskiego: jestem z ciebie dumna, że udało ci się obronić polską suwerenność przed zakusami obcego państwa, choćby na tym jednym odcinku.

– Prawda? Szkoda, że nie stoję na czele sił zbrojnych teraz, kiedy atakują nas rosyjskie drony. Na szczęście NATO zareagowało jak należy, „demonstrując swoje możliwości i determinację w obronie terytorium sojuszniczego”. W obronie naruszonego polskiego terytorium wystąpiły – oprócz polskich – także siły holenderskie, niemieckie i włoskie. Niemcy postawili w stan gotowości systemy Patriot, Włochy samolot wczesnego ostrzegania…

– Wszystko w sprawie kilkunastu styropianowych samolocików, o których nikt nawet nie twierdzi, żeby były uzbrojone… „Wszystkie środki, które są dostępne, będą podnoszone” – zapowiedział twardo prześliczny podpułkownik, którego nazwiska niestety nie dosłyszałam…

– Sprawdza się to, co mówiłam w kampanii wyborczej. Nie jesteśmy sami, mamy sojuszników i wspólnie z nimi trzeba działać. Nie musimy wychodzić przed szereg, wymachiwać szabelką i przeznaczać aż 5 proc. PKB na obronność, bo nawet jakbyśmy przeznaczyli 50 proc., sami się nie obronimy. Nie pamiętam, czy już się chwaliłam, że NATO podniosło składkę na zbrojenia z 2 do 3,5 proc. PKB, czyli dokładnie tyle, ile proponowałam.

– Ja uważam, że te 3,5 to też za dużo. I strasznie zazdrościłam Hiszpanom premiera Sáncheza, który powiedział NATO, żeby się w dupę pocałowało.

– Tak wprost tego nie powiedział…

– Nieomal wprost, moim zdaniem. W liście do sekretarza generalnego NATO Marka Ruttego napisał, że koncept wywalania 5 proc. PKB na zbrojenia – 3,5 bezpośrednio i 1,5 na „wydatki związane z obronnością i bezpieczeństwem” – jest „niezgodny z naszym państwem opiekuńczym”, albowiem wydatki takie wymagałyby „podniesienia podatków dla ludzi pracy, cięcia usług publicznych i świadczeń socjalnych dla obywateli”. I jeszcze na koniec przyłożył: „Każdy rząd ma prawo decydowania, czy chce dokonać takich poświęceń, czy też nie. Jako suwerenny sojusznik zdecydowaliśmy się tego nie robić”. Jestem w tej sprawie na 100 proc. z Sánchezem. Zwłaszcza po moich ostatnich doświadczeniach ze służbą zdrowia uważam, że wywalanie 200 mld zł na wojsko, zamiast dofinansowania lecznictwa, jest szaleństwem.

– Ochrona zdrowia najpilniej wymaga reformy. Ciekawa jestem, jak sobie poradzi nowa ministra. Na razie wyrzuciła wiceministrów z politycznego nadania.

– Co jest o tyle zabawne, że w tym akurat resorcie wiceministrowie partyjni byli także fachowi, czego nie da się powiedzieć o innych resortach, w których parytet partyjny trzyma się mocno. Szczególnie mnie zaniepokoiło wylanie Konieczneg, który z tego, co słyszałam, miał tendencję do stawiania się platformerskim konceptom „komercjalizacji”…

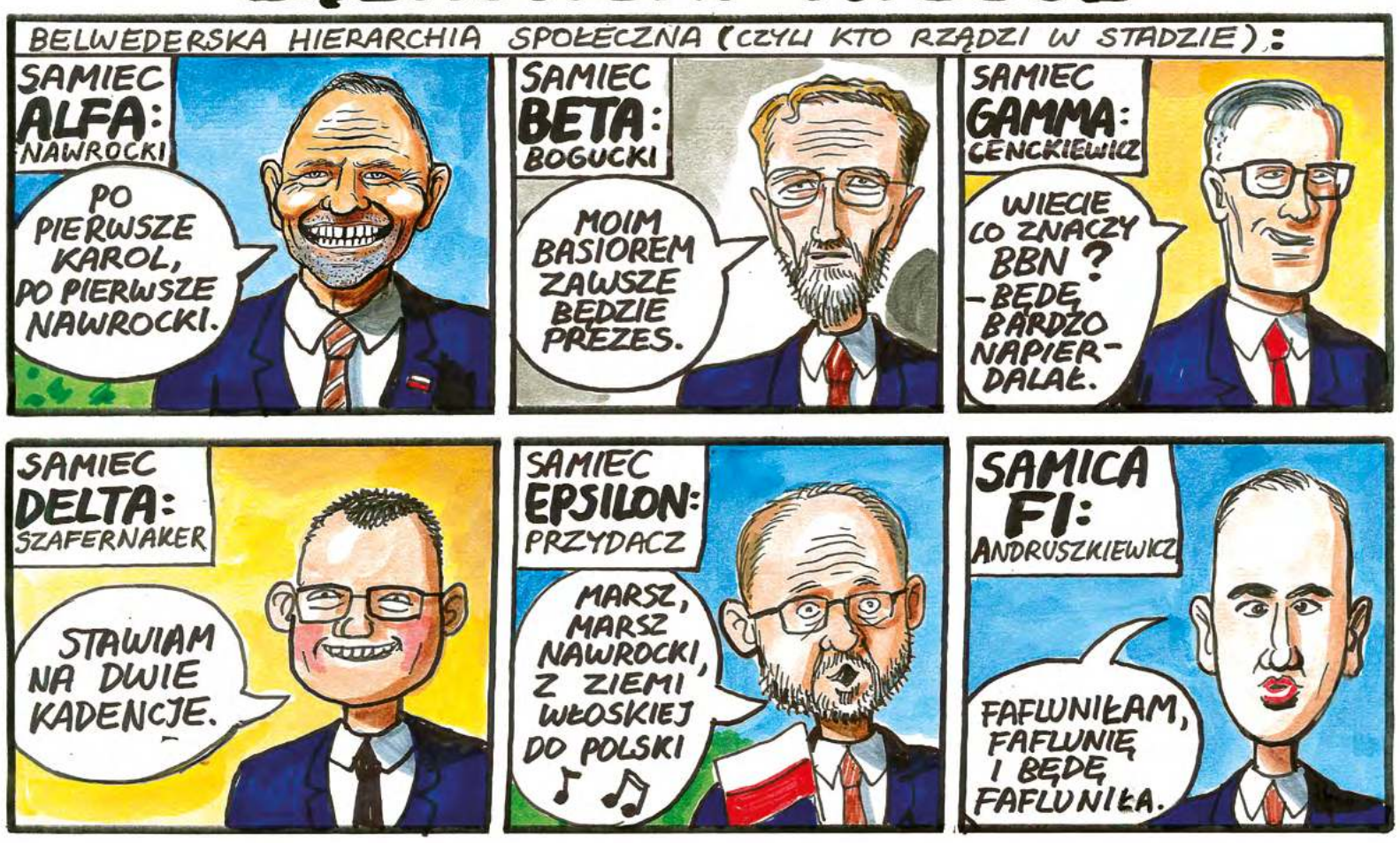
– Setnie mnie ubawił wicepremier Gawkowski, który ogłosił: „Ta decyzja mi się nie podoba”. Jemu naprawdę się wydaje, że to, co mu się podoba, ma jakiekolwiek znaczenie.

– Jemu się wydaje, że to, że jest wicepremierem, ma jakiekolwiek znaczenie.

– Dla niego ma.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl b921f55bef